

Włodzimierz Perzyński

OPOWIEŚCI NIEZWYKŁE

W jednej szkole był we wstępnej klasie uczeń, którego koledzy nazywali: Dudek. Ten Dudek był strasznie łakomy i ogromnie nie lubiał się uczyć. Śniadanie swoje, które mu matka dawała do szkoły, zjadał już zawsze po drodze na ulicy, tak, że do szkoły przychodził bez śniadania i wtedy zazdrość mu było patrzeć, jak jego koledzy podczas pauzy jedli. I wciąż przemyślał nad tem, jakby od którego z nich wykpić śniadanie. Nie raz mu się to udawało, bo brał się na różne sposoby. Wołał naprzykład kolegę w kącie i mówił mu z tajemniczą miną: Jak mi oddasz swoje śniadanie, to ci powiem jedną tajemnicę.

Tamtego to zaciekawiało i od razu pytał się Dudka:

— Jaką tajemnicę?...

— Największą, jaka jest na świecie — odpowiadał Dudek.

Ale potem, ma się rozumieć, sam nie wiedział co mówić. W klasie bardzo prędko poznano się na jego chytrą i nikt się już nie dał Dudkowi zwodzić. Na lekcjach Dudek, zamiast słuchać tego co mówił nauczyciel, drapał się w głowę i myślał tylko o tem, jakby wynaleźć nowy sposób okpiwania kolegów.

Pewnego dnia wsadzono Dudka za nieuwagę na godzinę do kozy. Uczniowie się rozeszli, a Dudek został w klasie zamknięty na klucz i był strasznie zły, bo się obawiał, że za karę w domu nie dostanie na obiad legominy. Rano wychodząc do szkoły, słyszał jak matka rozmawiała z kucharką i dowiedział się, że tego dnia miała być na obiad legomina z jabłkiem. Przyszło mu na myśl, że to była ta legomina, którą najbardziej lubił. Ale ledwo to pomyślał, od razu przypomniał mu się kompot z wiśni i wydało mu się, że najbardziej ze wszystkiego lubił kompot z wiśni. Aż się obliżał na samo wspomnienie tego kompotu i to tak, że aż językiem pod sam nos podjechał, ale w tej samej chwili, przypomniały mu się czekoladowe ciastka z kremem i znów mu się wydało, że najbardziej ze wszystkiego na świecie lubił czekoladowe ciastka. Potem przyszedł mu apetyt na ryż z rodzynkami, na lody na tort migdałowy i nie mógł się zdecydować, coby najbardziej wołał zjeść po obiedzie. Niestety przypomniał sobie zaraz, że nic nie dostanie.

Po tablicy chodziła ogromna mucha. Ze złości Dudek chciał ją zabić, chociaż mucha wcale temu nie była winna, że go za nieuwagę wsadzono do kozy i że to mu groziło pozbawieniem deseru po obiedzie. Tylko, że zabić muchę wcale nie jest tak łatwo. Napróżno się Dudek czał, zwinąwszy kajet w trąbkę. Kiedy uderzył kajetem w tablicę, muchy już dawno na tem miejscu nie było. I jakby chcąc pokazać Dudkowi, że sobie z niego nic nie robi, usiadła mu na samym czubku nosa.

— Czekaj — pomyślał Dudek — teraz cię urządzę.

Wstrzymał oddech, żeby muchy nie spłoszyć, zacisnął pięść, wolniutko podniósł rękę i — bęc — tak się uderzył w nos, że aż mu że łzy zakręciły w oczach. A mucha, ma się rozumieć, uciekła.

To odjęło Dudkowi ochotę do dalszego polowania na muchę. Usiadł w ławce, nasrożył się i zaczął myśleć o tem, jakby to dobrze było, gdyby mógł od razu zostać dorosłym człowiekiem. Wyobrażał sobie, że nie potrzebowałby się już wcale

uczyć, ani nikogo słuchać. I naraz wykrzyknął głośno:

— Chciałbym być dorosłym człowiekiem!

Ledwo to powiedział, doznał bardzo dziwnego wrażenia. Było to tak, jak gdyby ktoś go wziął z tyłu za głowę i pociągnął mocno: do góry, ale to tak mocno, że Dudkowi aż wszystkie kości zatrzęszczały. Dudek krzyknął wystraszony, nie rozumiejąc, co się stało. Wydało mu się że się rozciągnął jak kawałek gumy

I odrazu się przekonał, że to nie wydawało mu się tylko, ale że się wydłużył naprawdę, bo nie mógł pomieścić nóg pod ławką. Wstał i uczył, że jest znacznie wyższy. Jeszcze nie chciał sam w to wierzyć, więc podszedł do tablicy, żeby się przekonać, czy dosięgnie ręką do szczytu. Jak nic dosięgnął, choć przedtem było to dla niego nie możliwe. Dudek aż ogłupiał ze zdumienia

— Ja naprawdę urosłem — mruknął.

Wziął się ręką pod nos i poczuł, że ma wąsy. Opuścił oczy i zobaczył długą brodę, która mu aż na piersi opadała. Wobec tego nie mógł już mieć najmniejszej wątpliwości. Stało się to, czego pragnął, został odrazu dorosłym człowiekiem.

Dla Dudka było to niepojęte, a w istocie była to rzecz bardzo prosta. Ta mucha, którą Dudek chciał zabić, wcale nie była muchą, tylko czarownicą, zamienioną w muchę. Usłyszawszy pragnienie Dudka, czarownica postanowiła tak zrobić, żeby się spełniło. Powiedziała tajemnicze zaklęcie i Dudek w jednej chwili stał się dorosłym człowiekiem.

Ochłonawszy ze zdziwienia, Dudek ogromnie się ucieszył. Jak to się stało było mu wszystko jedno, wobec faktu, że marzenie jego się spełniło i że został dorosłym człowiekiem.

Wiwat! — krzyknął — Nie potrzebuję się już uczyć.

Głos jego także już nie był podobny do dawnego głosu Dudka. Mówił grubym basem.

Bardzo mu się to podobało i drugi raz z całej siły krzyknął:

— Wiwat!

I zaczął drzeć kajety.

Stróż gimnazjalny Michał, który drzemał w korytarzu, usłyszawszy te krzyki, zerwał się na równe nogi. Był to stary człowieczymi z siwymi wąsami i czerwonym nosem, bo niestety miał tę wadę, że lubiał czasami zaglądać do kieliszka. Przez chwilę stał oszołomiony, przecierając oczy, wreszcie machnął ręką:

— Coś mi się przyśniło — powiedział sam do siebie.

Ale w tej samej chwili Dudek po raz trzeci krzyknął: "Wiwat"

Nie pożałował głosu, to też aż szyby w oknach zabrzczały od tego krzyku. Stróż przerażony rzucił się ku drzwiom, z poza których krzyk się rozległ — otworzył je i stanął w progu, jak wryty.

Łatwo sobie wyobrazić jego zdumienie. Zamiast Dudka, którego przecież sam zamykał na klucz przed godziną, zobaczył wysokiego, okazałego mężczyznę z bujną brodą i nastroszonymi wąsami.

Zdawało się że staremu Michałowi zdumienie mowę odjęło zupełnie. Przez chwilę patrzył tylko na Dudka wytrzeszczonymi oczami, aż nareszcie wykrztusił:

— Co pan tu robi?...

Dudek widząc, że stróż go nie poznał, roześmiał się wesoło

— Pan Michał mnie nie poznaje? — zapytał.

— Nie.

— Przecież pan Michał sam mnie tu zamknął.

Pan Michał miał na sumieniu kilka kieliszków, na które się tego dnia skusił.

Więc nie bardzo był pewien tego, co robił Przyszło mu na myśl, że to musiał być ojciec którego z uczniów, którego on przez omyłkę zamknął w pustej klasie. I zaczął Dudka strasznie przepraszać:

— Wielmożny pan mi wybaczy... Ja doprawdy nie rozumiem jak to się stało, że ja mogłem wielmożnego pana tu zamknąć.
Dudek z uciechy uskokzył na ławkę. Tylko zapomniał, że jego ciężaru dorosłego człowieka ławka nie mogła już wytrzymać.

I z trzaskiem załamała się pod nim. Dudek jak długi rozciągnął się na podłodze.
— O, jej — sieknął.
Stróż znowu osłupiał. Jeśli wydawało mu się dziwnem, że mógł zamknąć w klasie dorosłego człowieka, to teraz, gdy zobaczył, że ten dorosły człowiek skacze na ławki, już nic nie rozumiał.
— Oho — pomyślał Dudek — gotowi mnie jeszcze drugą godzinę w kozie trzymać. Trzeba zmykać.
I ruszył ku drzwiom, ale Michał zastąpił mu drogę.
— Wielmożny pan zepsuł ławkę, niech wielmożny pan zapłaci.
— Nie mam pieniędzy — odparł Dudek.
Stróża ten argument wcale nie przekonał. Wydało mu się niemożliwym, żeby taki poważny pan z długą brodą nie miał pieniędzy. I przytrzymując Dudka za rękę odezwał się natarczywiej:
— O, proszę pana, tak to nie można. Kto panu kazał na ławkę skakać.... Musi pan zapłacić. Inaczej pana stąd nie wypuszczę.
Dudka strach zdjął. Spieszyło mu się na obiad, wcale nie miał ochoty zasiadywać się dłużej w szkole. Szarpnął gwałtownie rękę, chcąc się wyrwać Michałowi, ale Michał uczeplił go się całej siły. Zaczęli się szamotać. Dudek podstawił Michałowi nogę i udało mu się przewrócić go na podłogę, ale Michał pociągnął Dudka za sobą upadli obaj i tarzali się po ziemi. Dudek

przyduślił Michała tak, że tamten ani zipnąć nie mógł, wyrwał mu się i pędem uciekł po schodach do bramy.
Na ulicy jeszcze słyszał za sobą głos stróża:
— Zbój, zbój! Ratunku!
Dudek zmykał, ile mu sił starczyło. Przechodnie patrzyli ze zdziwieniem co to za pan, który tak pędzi bez kapelusza po ulicy. Bo Dudek, uciekając, nie zdążył wziąć swojej czapki. Nie na wiele by mu się coppingda przydała, bo to była czapka uczniowska i wcale by nie pasowała do brody Dudka, ani do jego wąsów.
Czarownica, zmieniając Dudka w dorosłego człowieka, zrobiła tak, że ubranie także się na nim wydłużyło, ale zapomniała o kapeluszu.
Skręciwszy w boczną ulicę, Dudek zwolnił kroku. Tam czuł się już bezpieczny. Co chwila dotykał ręką to swoich wąsów, to brody i strasznie mu dziwnie było, że się tak odrazu zmienił w dorosłego człowieka.
— To się w domu dziwią — myślał.
I wyobrażał sobie, że ta niespodzianka ogromnie rodziców ucieszy. Ale przed pokazaniem się w domu, chciał koniecznie zobaczyć jak wyglądał jako dorosły człowiek, bo tego sam jeszcze nie wiedział. Na tej ulicy, przez którą szedł, była niewielka cukierka. Właścicielka jej nazywała się pani Franciszkowa. Uczniowie ze szkoły bardzo często kupowali u niej cukierki. Dudek miał dziesięć groszy w kieszeni, więc postanowił kupić sobie cukierków i przy okazji poprosić pani Franciszkowej o lustro, żeby się przejrzeć

Wszedł i odezwał się wesoło:
Dzień dobry pani.
Pani Franciszkowa spojrzała na niego niechętnie i nic nie odpowiedziała, chociaż zazwyczaj witała się z nim bardzo przyjaźnie. Ale teraz ma się rozumieć nie

poznała Dudka.

— Pani mnie nie poznaje? — odezwał się Dudek...

— Nie — mruknęła pani Franciszkowa.

— Przecież ja u pani tyle razy cukierki kupowałem — ciągnął Dudek.

Pani Franciszkowa wzruszyła ramionami.

— Pierwszy raz w życiu pana widzę — powiedziała.

Dudka to stropiło.

— Proszę mi dać za dziesięć groszy cukierków — odezwał się przyciszonym głosem.

— Jakich?

— Tych samych, co wczoraj brałem.

Pani Franciszkowa znów wzruszyła ramionami.

— Niech mi pan głowy nie zawraca — odparła opryskliwie. — Mówię panu, że pana nigdy w życiu nie widziałam..

— Ja wczoraj nie miałem jeszcze brody ani wąsów — odezwał się Dudek.

— Przez noc panu urosły? — roześmiała się pani Franciszkowa.

— Nie, nie przez noc — odpowiedział Dudek. — Przed chwilą, kiedy w kozie siedziałem.

Na twarzy pani Franciszkowej odmalowało się przerażenie. Wyobraziła sobie, że przyszedł do niej zbrodniarz, którego dopiero co wypuszczono z więzienia. Bo przecież widząc przed sobą mężczyznę z wąsami i z broda, nie mogła przypuścić, że to był Dudek, który za nieuwagę siedział godzinę w kozie. Zerwała się na równe nogi i, stanąwszy we drzwiach, które prowadziły ze sklepu do mieszkania, zaczęła wołać przeraźliwym głosem:

— Antoni. Antoni... Idźcie no po policję!

Łatwo sobie wyobrazić, jak się Dudek wystraszył, gdy to usłyszał. Jednym susem znalazł się na ulicy. Ta nagła przemiana w dorosłego człowieka zaczęła mu się mniej podobać.

— A jeśli mnie i w domu nie poznają? — pomyślał ze strachem...

Ale zaraz się uspokoił. To, żeby go w domu nie poznali, wydało mu się niemożliwym.

I prędko poszedł do domu. Kiedy zadzwonił, drzwi otworzył mu sam ojciec, pan Dudasiński. Dudek pochylił się i pocałował ojca w rękę. Pan Dudasiński, nie przyzwyczajony do tego, żeby go dorosli, nieznanymi ludźmi całowali po rękach, cofnął się w tył i wytrzeszczył na Dudka oczy.

— Czego pan sobie życzy? — odezwał się zdziwionym głosem.

Dudkowi już się na płacz zaczęło zbierać.

— Tatusi mnie nie poznaje? powiedział płaczącym głosem...

W tej samej chwili do przedpokoju wyjrzała pani Dudasińska.

Usłyszała przez drzwi rozmowę i zaciekało ją, kto to przyszedł. Dudek, zobaczywszy matkę, rzucił się jej na szyję i zaczął całować. Pani Dudasińska krzyknęła przeraźliwie, a ojciec chwycił Dudka za kark i zaczął nim szarpać, chcąc oswobodzić żonę z jego objęć.

— To warjat! — zawołała pani Dudasińska. Ze strachu zrobiło jej się niedobrze i była bliska omdlenia. Widząc to ojciec, puścił Dudka i zajął się cuceniem żony.

Na krzyk, jaki się zrobił w przedpokoju, przybiegły z kuchni obie służące.

Dudek mógł się przekonać, że go nikt nie poznawał.

— Mamusiu! — zawołał z płaczem. — Ja nie jestem warjat. Ja jestem Dudek.

Służące, usłyszawszy to, zaczęły się strasznie śmiać. Dudka tak to rozgniewało, że rzucił się ku nim z pięściami.

— Czego wy się, głupie, śmiejecie? — krzyknął, a ponieważ miał gruby głos, więc ogłuszył wszystkich. Służące przerażone uciekły jednemi drzwiami, a rodzice Dudka drugimi i trzask — trzask — zamknęli je za sobą na klucz. Dudek został w przedpokoju sam. Na szczęście dla niego, służące ze strachu tak potrąciły głowy, że drugich drzwi nie zamknęły na klucz i Dudek mógł się przez nie dostać do

mieszkania. Poszedł do jadalni i zaczął płakać:

— Uu... u... u...

Dudek był mazgaj i kiedy się rozplakał, słyhać go było

w całym mieszkaniu, no, a teraz, jak zaczął płakać swoim grubym głosem, to poprostu dom się trząsał. Na ulicy ludzie stawali zadziwieni i, patrząc w okna państwa Dudasińskich, pytali się jedni drugich:

— Co się tam dzieje?... Tymczasem państwo Dudasińscy siedzieli w salonie i bali się wyjść. Pani Dudasińska trzęsała się, jak liść, a pan Dudasiński marszczył brwi i chodził wielkimi krokami z kąta w kąt. Po chwili zaczęli rozmawiać.

— To musi być jakiś nieszczęśliwy człowiek — powiedziała pani Dudasińska.

— Warjat — odparł pan Dudasiński.

— Ale skąd on wie, że naszego syna nazywają w szkole Dudkiem.

— I mnie to zastanowiło.

Pani Dudasińska spojrzała niespokojnie na męża i odezwała się prawie ze łzami w oczach:

— Co to znaczy, że Dudek nie wraca. Powinien już dawno być w domu.

— Pewno w kozie siedzi — powiedział pan Dudasiński.

Ponieważ Dudek często siadywał w kozie, więc w tem, że się spóźniał nie było nic niezwykłego. Ale pan Dudasiński tak to tylko mówił, żeby uspokoić żonę, bo sam w głębi duszy zaczynał już być także o Dudka niespokojny. I nagle odezwał się:

— Ja się z tym warjatem rozmówię.

— Daj spokój — krzyknęła pani Dudasińska, jeszcze zabije.

Nic mi nie robi — odpowiedział pan Dudasiński. — A jestem ciekaw, skąd mu przyszło do głowy mówić, że on jest Dudkiem. Zresztą — dodał po chwili — już się uspokoił. — Rzeczywiście Dudek zmęczony przestał płakać. Pan Dudasiński utworzył drzwi z klucza, ostrożnie uchylił i nim wszedł, zajrzał najpierw przez szparę do jadalni. Dudek siedział nadąsany przy stole. Obraził się na rodziców za to, że go nie poznali.

— Przepraszam pana — odezwał się pan Dudasiński — skąd panu przyszło do głowy mówić, że pan jest Dudkiem.

— Bo ja jestem Dudek — odparł Dudek.

Pan Dudasiński, przekonany, że ma do czynienia z warjatem, już się nie odzywał.

A Dudek, spojrzawszy na matkę, mruknął:

— Niech mi mamusia każe dać obiad, bo mi się jeść chce.

— Trzeba mu dać co zjeść — powiedział pan Dudasiński do żony.

Tego dnia miała być na obiedzie ciotka Dutka, panna Klotylda, ale nie przyszła, bo ją zęby rozbolały. Wskutek tego obiad, który był dla niej przygotowany, został, i pani Dudasińska kazała go przygotować Dudkowi. Dudek jadł, aż mu się uszy trzęsły. W tej chwili nawet kontent był z tego, że go w domu nie poznano, bo mógł jeść palcami i matka wcale się o to na

niego nie gniewała. Ale zjadłszy pieczeń spostrzegł, że na stole nie było legominy. Wiec zaraz zaczął się o nią upominać.

— Mamusiu, a legomina... Przecież dziś miała być legomina z jabłek.

Pani Dudasińska spojrzała ze zdumieniem na męża. A Dudek, zapominając, że był dorosłym człowiekiem, dopytywał się ciekawie:

— A ciocia Klotylda była na obiedzie?

— Skąd on wie to wszystko? — wykrzyknęła pani Dudasińska.

Dudek się ucieszył, bo wydało mu się, że nareszcie uda mu się przekonać rodziców, że był naprawdę Dudkiem.

— A widzi mamusia, że ja jestem Dudek! — krzyknął wesoło.

Pani Dudasińskiej zakreściły się łzy w oczach i drżącym głosem odezwała się do męża:

— Ja jestem taka niespokojna o Dudka. Choćby nawet zatrzymano go w kozie, to już powinien być z powrotem.

Chodźmy do szkoły.

— Trzeba będzie pójść się dowiedzieć — powiedział pan Dudasiński. Ale, jak się tego waryata pozbyć — dodał przyciszonym głosem. Dudek słyszał to jednak, bo miał słuch dobry.

— Najlepiej posłać po stróża — odparła matka żeby go wyprowadził.

— Tatusiu — krzyknął wystraszony Dudek — niech mi tatuś da brzytwę. Ogołę sobie te wąsy i brodę i tatuś od razu zobaczy, że ja jestem Dudek. Ale pan Dudasiński nic na to nie odpowiedział, tylko zbliżywszy się do okna, począł wołać na stróża:

— Józefie, Józefie!

Dudka to strasznie oburzyło, że mu rodzice nie chcieli wierzyć. I tupnąwszy nogą, krzyknął:

— Kiedy tak, to ja się utopię!

Myślał, że jak to powie, to rodzice się przestraszą i zaczną go przeproszać. Ale pan Dudasiński machnął ręką i powiedział:

— A utop się pan, byłeś się pan stąd wynioś!

W korytarzu, wiodącym z kuchni do jadalni rozległy się ciężkie kroki i po chwili we drzwiach ukazał się stróż Józef. Wszyscy mieszkańcy w całym domu wiedzieli już o tem, że do

państwa Dudasińskich przyszedł warjat, który się podawał za Dudka. To też stróż, kiedy go zawołano na górę, od razu się domyślił o co chodzi i wziął ze sobą ogromną miotłę.

— Moi drodzy — zwróciła się do niego pani Dudasińska wyprowadźcie tego obłąkanego.

— Chodź pan — mruknął stróż, biorąc Dudka za rękę.

Na złość rodzicom, Dudek chciał pokazać, że sobie nic z tego nie robi, więc choć łzy dusiły go w gardle, zacisnął zęby, żeby nie płakać. W bramie było pełno ludzi. Wszyscy chcieli zobaczyć waryata. Wyszedszy na ulicę, Dudek odwrócił się, pokazał im język i pogroził pięścią. I to tak wszystkich przestraszyło, że zaczęli uciekać.

Dudek, choć miał oczy pełne łez, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Tchórze! — krzyknął pogardliwie.

Ale to, że go się tak ludzie bali, ogromnie mu się podobało. I od razu odzyskał humor. Pomyślał sobie tak; "Pójdę do fryzjera, każę sobie ogolić brodę i wąsy, to wtedy tatuś i mamusia od razu mnie poznają. Wprawdzie przypomniał sobie zaraz, że nie miał pieniędzy, a u fryzjera trzeba płacić, ale Dudek i na to znalazł radę. O dwa domy od nich był fryzyer, pan Karol, który codziennie rano przychodził golić pana Dudasińskiego. Dudek postanowił do niego się udać. I wyobrażał sobie, jak to będzie bardzo zabawnie, jak przyjdzie i pan Karol go nie pozna.

pomyśli, że to naprawdę jakiś dorosły pan; a dopiero potem, po ogoleniu, zobaczy, że to Dudek. Ułożywszy sobie tak wszystko ślicznie w głowie, Dudek nie miał najmniejszego powodu do niepokoju. I nie spieszył się do fryzjera. Miał zamiar wrócić do domu dopiero na kolację. Cieszył się, że ciotki Klotyldy nie było na obiedzie, bo dzięki temu czekała go jeszcze jedna porcja legominy wieczorem. Był pewien, że matka z uciechy, że się odnalazł, da mu i te legominy i może jeszcze po ciastka pośle. Do wieczora było jeszcze dużo czasu i Dudek postanowił pochodzić po mieście, jak dorosły człowiek. Co chwila dotykał rękami

swoich wąsów i brody i markotno robiło mu się na myśl, że trzeba je ogolić. Pocięsział się tem jednak, że przecież po ogoleniu włosy odrastają, więc i jemu odrosną, a ponieważ stanie się to już w domu, więc później mimo wąsów i brody, rodzice nie przestaną go już poznawać. Ale największą uciechę sprawiała mu myśl, co to będzie, gdy się zjawi jako dorosły człowiek w szkole. Oczywiście wszyscy koledzy będą patrzyli na niego ze straszną zazdrością, może pomyślą, że to wąsy i broda przyprawiane, takie jak aktorzy noszą w teatrze, ale on nie pozwoli im się dotykać. Przywita się z nauczycielem za rękę, zapali ogromne cygaro, usiądzie w pierwszej ławce i powie, że tak tylko przyszedł, żeby posiedzieć. Rozmyślając tak, Dudek doszedł do Ujazdowskiego parku. Dzień był bardzo ładny, bo to wszystko działo się w lecie, już

przed samemi wakacjami i w parku było pełno osób. Dudek założył ręce w tył, tak, jak to czasami robił jego ojciec i szedł powoli, ciesząc się bardzo, że był dorosłym człowiekiem. Potem, zobaczywszy wolne miejsce na ławce, usiadł. Obok niego siedział siwy pan w czarnym surducie i szarych spodniach. Siwy pan palił cygaro i czytał gazetę. Dudek bardzo żałował, że sam nie miał gazety, ani papierosów, bo myślał, że z papierosem w ustach wyglądałby jeszcze bardziej na dorosłego człowieka. Ale, kiedy przesiedział tak pięć minut, zaczęło mu się strasznie nudzić. Pośrodku alei gromadka dzieci, chłopców i dziewczynek, bawiła się wesoło i Dudek miał ochotę się do nich przyłączyć. I nagle zobaczył taką rzecz, że aż mu się oczy zaiskrzyły. Jedna z dziewczynek miała czekoladowe papierosy. Odeszła kilka kroków od bawiącej się gromadki, stanęła niedaleko od Dudka, zadarła głowę do góry i wysypała sobie czekoladę z papierosa w usta. Dudkowi, kiedy na to patrzył, aż ślinka do ust poszła i już o niczem innem nie myślał, tylko o tem, jakby od dziewczynki te papierosy wydobyć. W tej samej chwili, dziewczynka zbliżyła się do niego, dygnęła ładnie i powiedziała:

— Przepraszani pana, która godzina?

— Daj mi te papierosy, to ci powiem odparł Dudek.

I widząc na twarzy dziewczynki wahanie, dodał prędko:

— Nie zjem ci, tylko chcę obejrzeć... Daj.

Dziewczynka wyciągnęła do niego rączkę z papierosami.

wtedy Dudek wyrwał jej papierosy, roześmiał się swoim grubym głosem i powiedział:

— Ta sama godzina, co i wczoraj o tej porze.

Szybko wysypał sobie na dłoń czekoladę, ze wszystkich czterech papierosów, potem

— pac, liznął językiem i odrazu ani śladu po czekoladzie nie zostało.

Dziewczynka patrzyła na niego przez chwile przerażona, jak gdyby nie rozumiejąc, co się stało i nagle zaczęła strasznie płakać.

— Ten pan zjadł mi moje papierosy, ten pan zjadł mi moje papierosy — powtarzała urywanym głosem.

— Odejdz, bo za uszy dostaniesz! krzyknął na nią Dudek

Ale nagle uczył, że go ktoś ścisnął z całej siły za ramię. To był siwy pan, który widział, jak Dudek zabrał dziewczynce papierosy i teraz ujął się za dziewczynkę.

— Co to za bandyckie obyczaje!?! krzyknął, zrywając się z ławki i wymachując Dudkowi przed nosem laską.— Jak pan śmiał zabierać dziecku papierosy?

Od razu zebrało się kilka osób i siwy pan opowiedział im całą historję. Wszyscy byli strasznie oburzeni i zaczęli wymyślać Dudkowi: — "Drab, zbój" — krzyczeli.

Dudek wystraszył się najokropniej i chciał uciec. Dał susa, ale tak niezgrabnie, że potracił jeszcze jednego małego chłopca, który się bawił z niańką. Niańka chciała zatrzymać Dudka. Wtedy Dudek ją pchnął, a ponieważ miał siłę dorosłego człowieka, więc pchnął ją tak mocno,

że nianka przeleciała przez całą aleję, zawadziła nogami o drut, który okalał trawniki i ze strasznym krzykiem upadła w krzaki.

Strach pomyśleć, co by się z Dudkiem stało, gdyby go oburzeni widzowie tej sceny schwytali. Napewno zbiliby go na kwaśne jabłko. Na szczęście dla Dudka, udało mu się uciec. Pędem przebiegł przez cały ogród i schował się w krzakach pod parkanem. Była to jednak kryjówka niepewna i Dudek czuł, że lada chwila mogą go tam odnaleźć. Trzęsąc się ze strachu, zaczął się gorąco modlić do Pana Boga, żeby z powrotem został małym Dudkiem.

Pan Bóg go wysłuchał i kazał musze-czarownicy odczarować Dudka. I nagle Dudek zobaczył przed sobą ogromną muchę która powiedziała ludzkim głosem:

— Możesz sobie powrywać brodę i wąsy.

Było to bardzo dziwne, że mucha mogła mówić ludzkim głosem, ale Dudek nie zastanawiał się nad tem. Chwycił się za brodę, szarpnął, zabolalo go tak, że aż mu świeczki w oczach stanęły, ale garść włosów została mu w ręku.

I tak Dudek musiał sobie powrywać całą brodę i wąsy. Była to strasznie bolesna operacja, a w dodatku Dudek nie mógł nawet krzyknąć, bo się bał, żeby nie zdradzić swej kryjówki. Zaciskał więc zęby i obiema rękami, żeby było prędzej, wyrwał włosy z brody. Teraz już się nie cieszył, że mu taka duża broda urosła.

Wreszcie, kiedy wyrwał ostatni włos z pod nosa, został znów małym Dudkiem. W tej samej chwili usłyszał krzyki

— Tu, tu się schował w tych krzakach!

I zobaczył siwego pana, który rozgarniał liście laską. Za siwym panem biegło mnóstwo ludzi i dwóch milicjantów z dobytymi pałaszami. Wszyscy bardzo się zdziwili, ujrawszy w krzakach małego Dudka. Siwy pan powiedział:

— Biedne dziecko. On się pewno tu schował przed tym zbójem.

I pobiegli dalej szukać zbója, którego ma się rozumieć nie znaleźli, bo go już nie było. Dudek uradowany, że znów został małym Dudkiem, pędem uciekł do domu. Od tego czasu Dudek ogromnie się zmienił, zaczął się uczyć, na lekcjach uważał i już nie myślał o tem, żeby zostać odrazu dorosłym człowiekiem.

GAŁGANIARZ I PATYCZEK.

Mały Antek miał sześć lat, kiedy stracił oboje rodziców i został zupełnie sam jeden na świecie. Był on taki mały i chudy, że nikt nie wołał na niego po imieniu, tylko wszyscy nazywali go "Patyczek". I on sam tak się do tego przyzwyczaił, że gdy go się kto pytał, jak się nazywał, to odpowiadał: "Patyczek". Po śmierci ojca zaopiekowała się nim pewna kobieta, żona Gałganiarza z tego samego domu. Ci Gałganiarze byli także bardzo biedni ludzie, tak, że nawet nie mieli własnego mieszkania i musieli się gnieździć kątem w suterynie. Było tam ciemno, brudno i ciasno, ale Patyczek był taki mały, że mu nie wiele miejsca było potrzeba. Usiadł sobie w kąciку przy oknie i cicho

plakał, a potem usnął. I przyśniło mu się, że do suteryny weszła nagle jego matka, zadyszana, jakby się strasznie spieszyła, pogłaskała go po głowie i powiedziała: Mój Patyczku, wyrwałam się na chwilę z nieba, bo mi strasznie tęskno było za tobą, ale teraz muszę wracać, żeby nie zobaczono, że uciekła. I

tak niewiem, coby tu wymyśleć, jakby się Pan Bóg dowiedział!" Patyczek zastanowił się chwilę i nagle krzyknął wesoło: "Niech mama powie, że straż ogniowa jechała i, że mama przystanęła, żeby popatrzeć. Tak mówił, bo sam najlepiej lubiał patrzeć, jak straż jechała do ognia. Ale matka uśmiechnęła się na to i odrzekła, że tak w niebie tłumaczyć się nie można. Potem wyjęła małe zawiniątko z kieszeni i podała Patyczkowi. "Masz — powiedziała — przyniosłam ci to, abyś miał się z czem bawić." Patyczek rozwinął paczuszkę i zobaczył kilkanaście błyszczących kamyków, które tak świeciły, że w całej suterynie od razu zrobiło się jasno i jeszcze blask bił na podwórze. Patyczek spojrzął z zaciekawieniem na matkę, a matka mu wytłumaczyła, że to były kawałki jednej gwiazdy, która się odłużowała, spadła i potłukła. "To już w niebie niepotrzebna!" krzyknął Patyczek. Matka podrapała się w głowę i odparła: "Możnaby to jeszcze posklejać i zrobić z tego inną gwiazdę, ale ponieważ nikt tego nie podniósł, więc ja zabrałam i przyniosłam ci do zabawy." Patyczek niesłuchanie się ucieszył, bo wyobrażał sobie, jak mu wszystkie dzieci na podwórzu będą takiej gwiazdy zazdrościły, ale nagle

się obudził i, zobaczywszy brudną suterynę, przekonał się ze smutkiem, że to wszystko było tylko snem. W tej samej chwili na schodach, prowadzących z podwórza do suteryny, rozległy się ciężkie kroki i ochryply śpiew. Ten śpiew, choć bardzo wesoły, nic dobrego nie wróżył, bo oznaczał, że Gałganiarz wracał do domu pijany. Gałganiarz po pijanemu miał dobry humor, śmiał się i wyśpiewywał, ale dotąd, dopóki był za drzwiami. W mieszkaniu zaraz mu się humor zmieniał, robił żonie awantury i czasami bił ją nawet. To też Gałganiarka najokropniej się przestraszyła.

— Schowaj się! — krzyknęła do Patyczka, ale już było zapóźno.

Gałganiarz, dowiedziawszy się, że jego żona chciała przygarnąć Patyczka, zaczął się złościć i tupać nogami:

— Sami nie mamy co jeść — wykrzykiwał — — — a ty tu będziesz jeszcze jakichciś przybłędów zbierała. Wyrzuć mi go zaraz.

Patyczek zaczął strasznie płakać i prosić, żeby mu przynajmniej do jutra rana pozwolono zostać i nie wyrzucano na noc po ciemku, ale Gałganiarz ani słyszeć o tem nie chciał. Wziął Patyczka za kołnierz, jednym palcem, bo był duży i mocny, a Patyczek leciutki, jak piórko, podniósł go do góry, otworzył okno i wyrzucił na podwórze. Potem — trzask — zamknął okno i zaczął się śmiać ochryplym głosem, bo po pijanemu zdawało mu się, że to co zrobił, było bardzo zabawne. Działo się to na jesieni, kilka razy już nawet śnieg przepadywał i noce były bardzo

chłodne. Przez tę jedną chwilę, kiedy okno było otwarte, naleciało zimna, do suteryny. Gałganiarka, przerażona, wybuchnęła głośnym płaczem i powiedziała:

— Zobaczysz, że cię Pan Bóg skarże.

Ale pijany Gałganiarz nic sobie z tego nie robił. Zaczął się rozbierać, żeby pójść spać. Kiedy ściągnął buty, rozległo się nagle ciche pukanie do okna. To Patyczek pukał myśląc, że się Gałganiarz jeszcze ulituje i wpuści go z powrotem do mieszkania. Na podwórzu było tak ciemno, że Patyczkowi z zimna i ze strachu zęby szczekały, jak w febrze. Ale ma się rozumieć pukał do okna napróżno. Gałganiarz nie tylko mu nie otworzył, ale jeszcze zagroził żonie, że jeśli nie przestanie płakać i wstawiać się za Patyczkiem, to i ją wyrzuci na dwór. Inni ludzie, którzy mieszkali w tej samej suterenie, nie ujmowali się za Patyczkiem, bo się bali Gałganiarza. Gałganiarka miała dobre serce i z żalu nie mogła zasnąć. Wiedziała, że jej mąż na drugi dzień będzie spał przynajmniej do południa, więc czekała tylko, żeby zasnął, bo postanowiła wyjść wtedy na podwórze i przyprowadzić z powrotem Patyczka. Jak na złość jednak Gałganiarz nie zasypiał kręcił się, mrucał, podśpiewywał coś pod nosem i uciszył się wtedy dopiero, gdy się wszyscy pobudzili, i zaczęli mu wymyślać i grozić, że jak nie przestanie hałasować, to się razem do niego zabiorą, obiją i wyrzucą za drzwi.

Ale to zajęło dużo czasu, że dwie godziny i Gałganiarka myślała z przerażeniem, że przez ten

czas Patyczek marznie na podwórzu. Wreszcie Gałganiarz zaczął chrapać — naprzemian cieżko i grubo, grubo i cieżko, a chrapał straszliwie, zupełnie tak, jakdyby djabeł grał na popsutej trąbie. Kiedy Gałganiarz tak chrapał, to już go można było szarpać, szturgać, nawet zimną wodą oblewać, nic go nie obudziło. Gałganiarka ubrała się szybko i wybiegła na podwórze. Przez ten czas wiatr porozpędzał chmury, na niebo wypłynął wielki srebrny księżyc i zrobiła się prześliczna, jasna noc. Ale, minio to, choć całe podwórze widać było, jak na dłoni, Gałganiarka nigdzie nie mogła wypatrzeć Patyczka. Przyszło jej na myśl, że może się schował przed zimnem do bramy, albo gdzie na schody obiegła wiece cały dom aż pod sam strych, zajrzała nawet do jednej piwnicy, która była otwarta, ale nigdzie nie mogła znaleźć Patyczka. Nazajutrz od samego rana poszła pytać się stróża, czy on nie wyrzucił Patyczka za bramę, bo stróż był także zły człowiek, zupełnie wart Gałganiarza, ale stróż wzruszył tylko ramionami i odpowiedział, że wcale Patyczka nie widział. I tak Patyczek zginął, jakby pod ziemię się zapadł.

* * *

O Patyczka tak nikt nie dbał, że w domu nie zauważono wcale tego, że zginął. Tylko Gałganiarce strasznie go żal było. Ale nie mogła o tem mówić mężowi, bo kiedy raz wspomniała o Patyczku, Gałganiarz wpadł w straszny gniew i tak się zaczął

awanturować, że Gałganiarka przerażona umilkła, przykucnęła za łóżkiem i tak cały wieczór przesiedziała.

Gałganiarz był strasznie zły, bo chciało mu się pić, a nie miał ani grosza. Ma się rozumieć, jak się Gałganiarzowi chciało pić, to nie wody, tylko wódki, za którą trzeba płacić. Skrzyczawszy żonę, wyszedł z domu i ledwo przestąpił próg bramy, znalazł złotówkę na chodniku. Złotówkę tę w oczach Gałganiarza zgubił jakiś stary pan, który przechodził zamyślony. Inny człowiek, uczciwy, byłby staruszka dogonił i oddał mu zgubę, ale Gałganiarz wcale nie myślał tego robić. Ucieszył się, że będzie miał pieniądze na wódkę.

Poszedł do najbliższego szynku i kazał sobie podać duży kieliszek wódki za całą złotówkę. Wypił, zapłacił i bardzo smutno mu się zrobiło, że nie miał pieniędzy na drugi. Zaproponował szynkarzowi, żeby mu dał jeszcze jeden kieliszek na kredyt, obiecując, że następnego dnia zapłaci, ale szynkarz, który znał Gałganiarza, nie chciał się na to zgodzić.

Gałganiarz zaklął pod nosem i zabierając się do odejścia, machinalnie wsadził rękę w kieszeń. I o mało nie oszalał z radości. Namacał palcami w kieszeni jeszcze jedną złotówkę. Ponieważ nie miał ani grosza, o czym wiedział dobrze, bo dziesięć razy przed wyjściem z domu całe ubranie przetrząsnął, więc było to bardzo dziwne, jakim sposobem jeszcze jedna złotówka mogła mu się znaleźć w kieszeni, ale Gałganiarz rozstrzygnięcie tej

tajemnicy pozostawił na później, a na razie był tylko strasznie rad, że mógł się jeszcze jeden kieliszek wódki napić. Gdy go wychylił, włożył rękę w kieszeń i znów znalazł złotówkę. I to powtarzało się za każdym razem. Co wydał złotówkę, to wnet odnajdywał nowa w kieszeni.

Szynkarz patrzył na niego zdziwiony, aż wreszcie odezwał się podejrzliwie:

— Skąd wy, Gałganiarzu, macie tyle pieniędzy.

— Wygrałem na loteryi — odparł Gałganiarz.

— Dużo?

— Wielki los.

Gałganiarz skłamał tak, bo nie chciał mówić szynkarzowi prawdy, ale sam odrazu się domyślił, że ta złotówka, którą znalazł, był to inkluz, czyli taki zaczarowany pieniądz, który zawsze gdy go wydać, wraca z powrotem do kieszeni. Gałganiarz taką sobie ucztę wyprawiał, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie miał. Kazał sobie usmarzyć pięć kotletów baranich, polem dziesięć kotletów cielęcych, a na dokładkę zjadł jeszcze dużą pieczeń wołową z kapustą i kartoflami — i wypił pół antałka piwa. Ma się rozumieć, gdy się tak objadł i opił, już ani ruszyć nie mógł się z miejsca. Sen go morzył, zaczął się kiwać na krześle, potem się zsunął z krzesła pod stół, wyciągnął się jak długi na podłodze i zaczął chrapać po swojemu, naprzemian cieżko i grubo, grubo i cieżko. Szynkarz czekał tylko na tę chwilę. Wiedząc, że Gał-

ganiarz ma pieniądze, postanowił go okraść. W szynku nikogo już nie było, bo wszyscy inni goście dawno się rozeszli; szynkarz pozamykał drzwi, pochylił się nad Gałganiarzem i obrewidował go starannie. Ale znalazł przy nim tylko jedną złotówkę. Łatwo sobie wyobrazić, w jaką wpadł wściekłość. Myślał, że Gałganiarz go oszukał i darować sobie nie mógł, że tak odrazu uwierzył w opowiadanie o wygranej na loteryi i nie kazał sobie z góry pokazać pieniędzy. — Ze złości chwycił konewkę wody i wylał ją Gałganiarzowi na głowę. Ale Gałganiarz miał taki twardy sen, że i to go nie obudziło. Więc szynkarz całą noc musiał nad nim siedzieć i czuwać, bo się bał, żeby Gałganiarz mu nie umknął. Rano Gałganiarz ziewnął przeraźliwie, przeciągnął się i otworzył jedno oko. Wtedy szynkarz porwał się i zaczął mu wymyślać:

— Ty oszuście! Mówiłeś, żeś wygrał wielki los na loteryi, a masz tylko jedną złotówkę. Ja cię zaraz każe zaarrestować i zamknąć w więzieniu.

Ale Gałganiarz wcale się tej groźby nie przestraszył. Spojrzał pogardliwie na szynkarza i powiedział dumnym tonem:

— Ile ci się należy?

Szynkarz wymienił dużą sumę.

— Masz — powiedział Gałganiarz. I zaczął jedną po drugiej wyjmować złotówki z kieszeni. Ułożył cały stos na stole aż się zebrała suma, jaką był winien.

Szynkarz zgłupiał zupełnie

Patrzył osłupiałym wzrokiem to na Gałganiarza, to na pieniądze. Gałganiarzowi śmiać się z niego chciało, ale udawał nachmurzonego. Potem, uderzywszy z całej siły pięścią w stół krzyknął:

— Chciałeś mnie okraść i plądrowałeś mi po kieszeniach. Teraz ja cię każe w więzieniu zamknąć.

Szynkarz przestraszył się najokropniej i zaczął Gałganiarza przeproszać. Łatwo udało mu się go udobruchać, bo naprawdę Gałganiarz nie był zły, tylko udawał, żeby nastraszyć szynkarza. W końcu, kiedy rozchmurzył czoło, szynkarz odezwał się pokornym głosem:

— Przepraszam was, panie Gałganiarzu. Dlaczego wy macie same złotówki?

— Bo taka była moja fantazja — odrzekł Gałganiarz. Kazałem sobie całą wygraną samemi złotówkami wypłacić.

I wyszedł ogromnie dumny z tego, że mu się szynkarz kłaniał. Wróciwszy do domu Gałganiarz spojrział z drwiącym uśmiechem na żonę i powiedział:

— Mówiłaś, że mnie Pan Bóg skarże za to, że wyrzuciłem Patyczka, a tymczasem widzisz, jak mi się poszczęściło. Znalazłem zaczarowany pieniądz.

I zaczął rozrzucać złotówki po podłodze. Gałganiarka ogromnie się ucieszyła, ale niedługo trwała jej radość, bo tego samego dnia mąż od niej uciekł.

Gałganiarz stał się najbogatszym człowiekiem w Warszawie

Sprawił sobie wielkie futro z wielkim bobrowym kołnierzem, lśniący cylinder, laskę z ogromną złotą gałką i całymi dniami spacerował po Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu, od Placu Zamkowego do Alei Ujazdowskich i z powrotem. Po pewnym czasie wszyscy ludzie znali go z widzenia, pokazywali go sobie palcami na ulicy i mówili:

— To jest ten bogaty dziwak, który za wszystko płaci samemi złotówkami.

A Gałganiarzowi to jedno psuło humor, że nigdy nie miał przy sobie więcej pieniędzy, niż złotówkę. Wskutek tego musiał na kupowanie kosztownych rzeczy tracić bardzo dużo czasu. Raz zobaczył u jubilera olbrzymi brylant. Brylant kosztował kilkadziesiąt tysięcy, aby te sumę samemi złotówkami zapłacić, potrzeba było dwóch dni i dwóch nocy czasu. Jubiler, który był słaby człowiek, po otrzymaniu ostatniej złotówki zemdlął z głodu i wycieńczenia.

Dla tej samej przyczyny Gałganiarz nie mógł zamieszkać we własnym domu, który sobie upatrzył i kupił. Gospodarz, podejrzliwy człowiek, nie chciał mu go oddać przed otrzymaniem całej sumy. Codziennie po południu Gałganiarz przyszedł do gospodarza i układał mu złotówki na stole. Gospodarz nie mógł się wydziwić, jakim sposobem Gałganiarz mógł zmieścić tyle złotówek w kieszeni. Nie domyślał się oczywiście, że to była zaczarowana złotówka, a Gałganiarz nie chciał się do posiadania inkluza

przyznawać, bo się bał, że jakby się wiadomość o tem po mieście rozeszła, to wnet znaleźliby się zbójce, którzy by go chcieli obrabować. Ale wreszcie po miesiącu dom stał się własnością Gałganiarza. Gałganiarz wybrał sobie najpiękniejszy apartament na pierwszym piętrze i tego samego dnia się wprowadził.

Spać mu się chciało i wcześniej poszedł do łóżka. Co to było za łóżko! Z najkosztowniejszego, zamorskiego drzewa z ozdobami ze złota i z kości słoniowej. Poduszki były wypchane łabędzim puchem. Gałganiarz wyciągnął się na pościeli, otulił kołdrą i uśmiechnął z rozkoszą. Tak wygodnie, ciepło i miękko jeszcze nigdy w życiu nie spał. Przymknął oczy i już miał zasypiać, gdy nagle rozległo się ciche pukanie do okna. Zupełnie tak samo, jak wtedy, kiedy Patyczek pukał do okna w suterynie.

W pierwszej chwili wydało się Gałganiarzowi, że to było tylko urojenie, ale strach go wziął i nasunął kołdrę na głowę. Długo tak jednak leżeć nie mógł, bo pod ciężką kołdrą tchu mu brakło i zaczynał się dusić. A przytem i to było najdziwniejsze, — mimo, że kołdra była bardzo gruba i że w dodatku Gałganiarz zatykał sobie uszy palcami, to jednak wciąż słyszał pukanie do okna. I pukanie to stawało się coraz głośniejsze i coraz niecierpliwiejsze. Szyba zaczęła już brzęczeć iak, jakgdyby lada chwila miała pęknąć.

Przez całą noc Gałganiarz ani oka nie mógł zmrużyć. Bał się wstać i wyjrzeć przez okno. Nad ranem, kiedy już zaczęło

szarzeć, pukanie nagle umilkło. "Nareszcie będę mógł się przespać" — pomyślał Gałganiarz, ledwo żywy ze zmęczenia. Wyciągnął się, przymknął oczy, ale w tej samej chwili — dr.. dr.. dr.. szyba znów zaczęła brzęczeć. Pukanie to nie było głośne, ale miało w sobie coś tak dręczącego, że niepodobna było zasnąć. Rozwścieklony Gałganiarz zerwał się z łóżka, dał takiego susa, że odrazu znalazł się przy oknie, podniósł roletę i zdrętwiał z przerażenia.

Na rynn timer przed oknem stał patyk, najzwyczajniejszy patyk, mało co większy od ołówka. I to ten patyk tak jednym końcem stukał w szybę. Kiedy Gałganiarz podniósł roletę, patyk przestał stukać i zaczął tańczyć po rynn timer, jakby z uciechy, że zobaczył Gałganiarza.

Gałganiarz zemdlął z przerażenia. Kiedy odzyskał przytomność, był już jasny dzień. Gałganiarz kucnął przy oknie, ostrożniuteńko uchylił rulety i wyjrzał. Patyka na rynnie już nie było.

— Teraz mógłbym się przespać — pomyślał Gałganiarz, ale już nie miał odwagi kłaść się do łóżka, bo się bał, że jakby się położył, to patyk znów by zaczął pukać. Ubrał się prędko, wyszedł i już nie chciał do tego mieszkania wracać. Przeprowadził się na szóste piętro, bo mu się zdawało, że tak wysoko będzie bezpieczniejszy. Przez cały dzień chodził po mieście, aby być jaknajbardziej zmęczonym na wieczór, a wieczorem upił się strasznie, tak, że go nieprzytomnego odniesiono do domu. Dawniej,

gdy Gałganiarz się tak upił, to miał strasznie twardy sen. Dziesięciu ludzi mogło było grać mu nad uszami na wielkich trąbach i bić w bębny i nie obudziliby go napewno. Ale tym razem, gdy go tylko służba pozostawiła samego w sypialni, obudził się odrazu. I obudzi! się tak trzeźwy, jakby ani jednego kieliszka nie wypił.

— Zaraz zacznie stukać — pomyślał, i ze strachu zimny pot go oblał. W tej samej chwili rozległo się ciche pukanie do okna.

Gałganiarz wychylił z pod kołdry głowę i spostrzegł, że służba zapomniała zapuścić roletę. Była bardzo jasna księżycowa noc i Gałganiarz doskonale widział z łóżka Patyk, który kiwał się na rynnie i miarowo pukał w szybę. Gałganiarz czuł, że patyk chce wniknąć do pokoju. Przyszło mu na myśl, że jak mu otworzy, to może go tem udobrucha. Wstał więc i otworzył okno. A patyk w tej chwili zmienił się w wielki drąg, wskoczył do pokoju i jak nie zacznie łąć Gałganiarza. W ćwierć sekundy nabił mu cztery wielkie guzy na czole.

Gałganiarz ze strasznym krzykiem zaczął uciekać po pokojach, ale drąg gonił za nim wszędzie. Podskakiwał do góry i z impetem opadał Gałganiarzowi na głowę i na plecy. Gałganiarz rzucał się jak oszalały, przykucnął pod stołem, wśliznął się pod kanapę, potem wdrapał się na szafę, ale to wszystko na nic się nie zdało. Drąg wciąż go potrafił dosięgnąć. W końcu udało się Gałganiarzowi wymknąć do łazienki. Zamknął drzwi za sobą

na klucz i myślał, że jest bezpieczny. Ciężko dysząc, usiadł na brzeżku wanny.

Od tego bicia tak spuchł, że się zrobił cztery razy grubszy niż był.

Przesiedział chwilę i nagle znów usłyszał ciche pukanie do drzwi. Ale nie miał najmniejszego zamiaru otwierać. Postanowił przeczekać w łazience do rana, potem zawołać przez okno ludzi, kazać przynieść wysoką drabinę i po niej uciec. Tak mu się ten pomysł podobał, że chciał zatrzeć ręce z uciechy, ale takie miał obolałe, że nie mógł nimi ruszyć. Patyk pukał, pukał i przestał pukać.

— Znudziło ci się — roześmiał się Gałganiarz. Ale w tej samej chwili klucz w zamku zaczął się ruszać i nagle wypadł z brzękiem na kamienną posadzkę, a przez dziurkę od klucza do łazienki wśliznął się patyk. I znów odrazu zmienił się w wielki drąg.

Nie widząc już dla siebie ratunku, Gałganiarz chciał się oknem rzucić na bruk.

Ale kiedy wskoczył na okno, zobaczył, że sąsiednie okno od sieni było otwarte.

Strach dodał mu sił i zręczności i po gzymsie Gałganiarz uciekł do sieni. Ale drąg podążył za nim tą samą drogą.

Z przeraźliwym krzykiem: "Ratujcie, ratujcie!" — Gałganiarz zbiegł po schodach na podwórze. Ma się rozumieć cały dom się obudził, wszyscy pozrywali się na równe nogi, pootwierali okna i myśleli, że Gałganiarz oszalał, bo tak było, że widzieli tylko

jego, jak skakał i krzyczał, a drąg był niewidzialny. Stróż, chcąc się pozbyć warjata, otworzył bramę. Gałganiarz wypadł na ulicę drąg za nim i waląc wciąż

Gałganiarza, popędził go aż do Wisły. Tam Gałganiarz skoczył z mostu w wodę i utonął.

PRZYGODY CHUDEGO PATYCZKA.

Tak marnie zakończył swoje, życie Gałganiarz i dobrze się stało, przecież na nic lepszego nie zasługiwał. Nikt nie wiedział, gdzie przepadł i co się działo z Patyczkiem, a Patydzek miał tymczasem niesłychanie dziwne przygody. Przypominacie sobie, że kiedy go Gałganiarz wyrzucił na podwórze. Patydzek pukał jeszcze do okna, myśląc, że Gałganiarz się ulituje i wpuści go z powrotem do suteryny. Noc była zimna i ponura, na podwórzu paliła się tylko jedna latarnia, wiatr miotał płomieniem na wszystkie strony i tak to

wyglądało, jakgdyby jaka okropna twarz, zawieszona w powietrzu, oblizywała się długim, żółtym językiem. Ma się rozumieć, że taka jedna latarnia nie oświetlała podwórza, to też było tak ciemno, że nawet koty, które widzą po ciemku, tej nocy niewiele by zobaczyły napewno. Patydzek, który miał na sobie liche ubranie, pełne dziur, skostniał odrazu z zimna, a jeszcze bardziej ze strachu, bo okropnie bał się ciemności. Zęby mu było raźniej, poszedł do bramy, usiadł na ziemi w kącie, skulił się jak mógł i zaczął się modlić. Mimo, że mu było bardzo zimno, sen zmorzył go powoli, przymknął oczy i już, już byłby może zasnął, gdy nagle do bramy zadzwoniono gwałtownie. Stróż spał tak mocno, że go ten jeden dzwonek nie mógł obudzić, a może i obudził, tylko nie chciało mu się na zimno wychodzić z mieszkania. Więc ten ktoś, kto był za bramą, zadzwonił drugi raz trzeci i czwarty, dzwonił tak, że mało dzwonka nie urwał, a gdy i to nie pomagało, zaczął kopać i bić pięściami w bramę. I to nareszcie obudziło stróża. Wyszedł z mieszkania, okulany w ogromny kozuch z podniesionym kołnierzem, tak, że mu wcale głowy nie było widać i zdawało się, że kozuch sam szedł po ziemi. Trzeba było trafu, że stróżowi się śniło, że mu Patydzek się sprzeciwiał, a ponieważ wyszedł do bramy strasznie rozespany, więc jeszcze myśli ze snu błąkały mu się po głowie i idąc mruczał ochrypłym głosem:
— Niech ja tego Patyczka złapię, to mu kości poprzetrącam.

Patydzek to usłyszał i tak się przeraził, że zerwał się ze swego kąta, pocichutku na palcach przemknął się wzdłuż ściany i, kiedy stróż otworzył bramę, wypadł na ulicę. Było tak ciemno, że ani rozespany stróż, ani ten pan, który wracał, nie zauważyli jego ucieczki. Stróż zatrzasnął bramę, przekręcił ze zgrzytem klucz w zamku i Patydzek został na ulicy sam. W pierwszej chwili myślał, że umrze ze strachu i zresztą chciał umrzeć, bo zdawało mu się, że to już będzie lepiej, niż się tak strasznie bać. Wyciągnął się na wznak na chodniku, zamknął oczy, złożył ręce na piersiach w krzyż i, żeby mu się nie nudziło przed śmiercią, zaczął rachować do dziesięciu, bo dalej nie umiał. Przeliczył tak z kilkanaście razy z rzędu, coraz twardziej i zimniej było mu leżeć na kamieniach, a śmierć nie przychodziła. W końcu znudziło mu się tak leżeć z zamkniętymi oczami, otworzył powoli jedno oko i zobaczył ogromny księżyc, który tymczasem wyszedł z poza chmur i oświetlił ulicę. Ta jasność dodała Patyczkowi otuchy. Zerwał się z ziemi i, żeby się rozgrzać, zaczął biegać i bić się rękami po bokach, tak, jak to często w zimie robią

dorożkarze. Potem przyszło mu na myśl, żeby pójść poszukać dobrych ludzi, którzyby go przysparzyli na noc. Bardzo często zdarza się tak w życiu, że człowiek, któremu grozi jakieś niebezpieczeństwo, póty się boi, póki wie, że ktoś mu może pomóc i ulitować się nad nim, potem, kiedy się przekona, że tylko na własne siły może liczyć, odzy-

skuje od razu odwagę. Tak samo było z Patyczkiem. Powiedział sobie, że nie wszyscy ludzie byli tacy źli, jak Gałganiarz i stróż i ruszył rażno naprzód. I, ledwo uszedł kilkanaście kroków zobaczył przed sobą dwóch przechodniów, którzy wyszli z bocznej ulicy i zdążyli w jego stronę. Jeden był już stary, bardzo wysoki i bardzo chudy i miał siwą, spiczastą bródkę, drugi młodszy, niski, krępy z czarnymi wąsikami. Ten młodszy niósł w ręce niewielką skórzaną walizkę.

Kiedy Patyczek zrównał się z nimi, starszy przechodzień spojrzał na niego ze zdziwieniem i zawołał:

— Cóż ty się tak sam włóczysz po nocy?

— Bo nie mam się gdzie podziać — odparł Patyczek.

Wtedy obaj przechodnie przystanęli i zaczęli go się wypytywać, kim był i co robił. Patyczek opowiedział im całą swoją historję i w końcu poprosił, żeby go wzięli ze sobą do domu i przenocowali.

— Jak ci na imię? — odezwał się starzec ze spiczastą, siwą brodą.

— Patyczek — odpowiedział Patyczek.

To się obu przechodniom ogromnie podobało. Młodszy zaczął się strasznie śmiać, a potem powiedział:

— Bardzo dobrze się nazywasz, bo jeszcze nigdy w życiu takiego chudego dzieciaka nie widziałem.

Poszeptał coś z towarzyszem i powiedział do Patyczka:

— Dobrze, weźmiemy cię ze sobą, bo się nam przydasz, ale musisz wszystko robić, co ci każę.

Patyczek tak był ucieszony, że znalazł dobrych ludzi, którzy go chcieli zabrać ze sobą, że ma się rozumieć bez wahania przyrzekł im posłuszeństwo. Nie wiedział, że ci dwaj ludzie, to byli niebezpieczni zbóje, którzy szli właśnie obrabować sklep bogatego zegarmistrza. Młodszy miał w walizce zbójckie narzędzia. Szli dość długo, skracając z jednej ulicy w drugą, a ponieważ mieli długie nogi, więc stawiali ogromne kroki i Patyczek, żeby za nimi nadążyć, musiał biec. Wreszcie zatrzymali się przed wysokim domem, starszy zbój rozejrzał się po ulicy, a młodszy wyjął z walizki wytrych i otworzył bramę.

Wtedy Patyczek domyślił się, że wpadł w ręce zbójów, chciał uciec, ale już było zapóźno. Młodszy bandyta chwycił go za ramię i wepchnął do bramy. Z bramy weszli do pustego sklepu, który sąsiadował ze sklepem zegarmistrza. Okazało się, że tam już była przygotowana dziura w ścianie, ale za mała, żeby bandyci mogli przez nią przeleźć, a nie chciało im się jej rozszerzać, bo to była długa i żmudna robota. Postanowili więc posłać do sklepu Patyczka. Był on taki mały, że mógł się przez tę dziurę przesunąć. Zbóje myśleli sobie przytem, że gdyby zegarmistrz się obudził i wybiegł do sklepu, to złapałby Patyczka, a oni zdążyliby uciec. Nad wywierceniem tej dziury w ścianie zbóje pracowali już co noc od tygodnia. Na dzień zakładali ją tak zręcznie cegłami, że wcale

jej nie było widać. Młodszy zbój wyjął z walizki elektryczną latarkę i świecąc sobie nią, zaczął wyjmować cegły. Dopiero przy świetle latarni Patyczek mógł się zbójom dobrze przyjrzeć. Obaj mieli straszne miny. Starszy był zezowaty, a młodszy ospowaty. Przez ten czas, kiedy młodszy zbój wyjmował cegły z dziury, starszy zabrał się do jedzenia. Wydobył z walizki dużą papierową torbę, w której

była: wódka, chleb i kielbasa. Przytknął butelkę do ust i tak pił, że aż mu gulgotało w gardle, potem ukrajał sobie chleb i ogromny kawał kielbasy. Patyczkowi, kiedy patrzył na chleb i kielbasę, ślinka szła do ust, bo strasznie był głodny, ale ani słowa nie powiedział, bo nie chciał jeść zbójckiego jedzenia.

Młodszy zbój pracował powoli, bo musiał cegły wyjmować ostrożnie, żeby która nie upadła na ziemię i nie narobiła hałasu. Wreszcie, kiedy otwór był gotów, powiedział do Patyczka:

— Wejdiesz do sklepu i będziesz nam przez tą dziurę podawał zegarki. Tylko sprawuj się cicho, bo jakby zegarmistrz się obudził, toby cię zabił.

Patyczek strasznie się przeraził na samą myśl, że mógłby dopomagać zbójom do kradzieży. Niestety był za słaby, żeby im uciec, a wiedział, że gdyby nie chciał słuchać, to by go zbóje zabili. Popatrzył na dziurę i powiedział:

— Ja się w tę dziurę nie zmieszczę. Musicie wywiercić większą. Chciał przez to zyskać na czasie, bo miał nadzieję, że może

zegarmistrz się obudzi i spłoszy zbójów. Zbóje jednak nie dali się tak łatwo wywieść w pole. Starszy zbój, który dotychczas nic nie mówił, tylko złym wzrokiem patrzył na Patyczka, ustyszawszy jego odpowiedź, wpadł w straszny gniew, chwycił Patyczka za szyję i zasyczał stłumionym głosem:

— Doskonale się zmieścisz! Sam cię przepchnę. A jak nie będziesz chciał wejść, to cię zaduszę.

I mówiąc to, tak mocno ścisnął Patyczka kościstymi palcami za gardło, że Patyczek już oddech tracił.

— Pójdę — jęknął, czując, że nie było już innego ratunku.

Wtedy zbój przestał go dusić i ujął go wpół, żeby go przepchać przez dziurę. A Patyczkowi w tej ostatniej chwili przyszła bardzo szczęśliwa myśl do głowy. Odwrócił się i powiedział:

— Dajcie mi tę papierową torbę.

— Na co ci? — zadziwił się zbój.

— A bo, jakby zegarmistrz wszedł do sklepu, to ją włożę na głowę, żeby mnie nie poznał.

Obu zbójom ogromnie się to podobało. Zaczęli się śmiać, młodszy zbój, klepiąc Patyczka po ramieniu, powiedział:

— Chytry z ciebie dzieciak, wyrośniesz na porządnego zbója.

I dali mu torbę.

Patyczek nie włożył jej na głowę, tylko starannie wygładził i ukrył na piersiach. Starszy zbój wziął Patyczka wpół, kazał mu ręce wyciągnąć przed siebie i tak go przepchnął na drugą

stronę. Potem podali mu przez otwór latarkę, żeby mógł sobie poświecić, bo w sklepie było zupełnie ciemno. Patyczek nacisnął guzik i kiedy latarka się zapaliła, aż osłupiał ze zdumienia. Nigdy w życiu jeszcze nie widział tylu zegarów. Na wszystkich stołach leżały prześliczne złote zegarki, na ścianach, aż do samego sufitu, wisały zegary i wszystkie szły i tykotały miarowo. Patyczek sam się nie znał na zegarku, zdawało mu się, że to okropnie trudna rzecz, to też pomyślał sobie, że taki zegarmistrz, który się znał na tych wszystkich zegarach, musiał być najmądrzejszym człowiekiem na świecie. Oczywiście wcale nie myślał podawać zbójom zegarków. Chodził sobie i oglądał sklep. Zbóje zaczęli się niecierpliwić. Starszy zbój pochylił się do dziury w ścianie i krzyknął przyciszonym głosem:

— Spiesz się.

Patyczek nakierował na dziurę latarkę i zobaczył wielkie, zezowate oko. Ale już sobie nic ze zbójów nie robił. Zgasił latarkę, chwilę przeczekał, potem wziął torbę, przytknął do ust, nadmuchał w nią powietrza i... strzelił. Możecie sobie wyobrazić, jak huknęło, aż się cały dom zatrzęsł. Zbóje myśleli, że to

zegarmistrz się obudził i wypalił z rewolweru i przerażeni uciekli.

* * *

Drzwi, wiodące ze sklepu do mieszkania Zegarmistrza, otworzyły się gwałtownie i w progu ukazał się Zegarmistrz. W jednej ręce trzymał lampę, a w drugiej szczotkę do zmiatania podłogi.

Nie była to broń bardzo groźna, ale Zegarmistrz nie posiadał innej i chwycił to, co miał pod ręką. W pierwszej chwili Zegarmistrz nie zobaczył Patyczka, ponieważ lampa niedostatecznie oświetlała sklep, a zresztą Patyczka zasłaniało krzesło. Zegarmistrz był wystraszony i widocznie nie bardzo miał odwagę zapuszczać się do sklepu. Zatrzymawszy się w progu, zaczął wołać przeraźliwym głosem:

— Małgosiu, Małgosiu!

Patyczek wołał mu się nie pokazywać, bo się bał, że a nuż Zegarmistrz, nie wdając się z nim w rozmowy, wyróżnie go szczotką w głowę. Przykucnął więc za krzesłem i siedział jak trusia. Ze swego ukrycia mógł się dobrze Zegarmistrzowi przyjrzeć. Zegarmistrz był sam do zegaru podobny, bo miał dużą, okrągłą twarz i długie, czarne, bardzo sztywne i bardzo cienkie wąsy, z których jeden szedł prosto z pod nosa w bok, a drugi sterczał do góry, aż pod same oko, tak, że to wyglądało jak wskazówki na zegarze. Patyczek był pewien, że mu Zegarmistrz podziękuję i jeszcze nagrodzi może nawet za wypłoszenie zbójów ze sklepu, tylko nie wiedział, jak zacząć o tem mówić. Zegarmistrz wciąż trzymał szczotką podniesioną do góry i Patyczek się bał, że nim pierwsze słowo zdąży wypowiedzieć, to już tą szczotką dostanie przez głowę. W końcu przyszło mu na myśl, żeby mówić z pod krzesła. I krzyknął:

— Proszą pana Zegarmistrza, to ja strzeliłem z papierowej torby, żeby spłoszyć zbójów, którzy przyszli okraść sklep.

Zegarmistrz poznał po głosie, że to mówił mały chłopiec i przestał się bać.

— Zuch jesteś — odpowiedział. — Chodź tu i pokaż mi się.

Patyczek wstał, ale w tej chwili zobaczył coś tak strasznego, że od razu ukrył się z powrotem za krzesłem. Do sklepu wbiegła Papuga. Samej Papugi Patyczek, ma się rozumieć, by się nie przestraszył. W tym domu, gdzie mieszkał, jedni państwo mieli papugę w klatce i Patyczek wciąż się jej z podwórza przyglądał. Ale ta Papuga, która wbiegła do sklepu, miała takie wielkie nogi, że była wyższa od zegarmistrza. Zaczęła strasznie trzepotać skrzydłami i krzyzczeć chrapliwym głosem:

— Co to jest? Co to jest? Co to jest? Co to jest?

I biegała po całym sklepie, zaglądając do każdego kącika.

Zegarmistrz postawił lampę na stole, szczotkę rzucił na podłogę i biegał za papugą. Po chwili papuga znalazła pod krzesłem Patyczka.

— To on! To on! To on! To on! — krzyknęła, zamierzyła się haczykowatym dziobem na Patyczka i już, już byłaby go palnęła w głowę i napewno zabiła na miejscu, ale na szczęście Zegarmistrz zdążył ją chwycić za nogę i odciągnąć w tył.

— Małgosiu, Małgosiu, uspokój się! — krzyczał przeraźliwym głosem. — To poczciwy chłopiec, on spłoszył zbójów, którzy nas przyszli okraść.

Ale Papuga strasznie była zajadła. Skakała na jednej nodze

i koniecznie starała się dosięgnąć dziobem Patyczka, który wysliznął się z pod krzesła i ukrył za stołem.

— Uciekaj, chłopcze, do mieszkania i zamknij się w ostatnim pokoju na klucz! — krzyknął Zegarmistrz.

Jednym susem Patyczek uciekł ze sklepu do mieszkania. W mieszkaniu było ciemno,

ale Patyczek miał na szczęście elektryczną latarkę, którą mu dali zbóje. Świecąc sobie nią, łatwo znalazł ostatni pokój. Przełożył klucz z jednej strony na drugą i zamknął się na dwa spusty.

Pokój, w którym się Patyczek ukrył, służył Zegarmistrzowi za pracownię. Sprzętów było tam niewiele, tylko kanapa i stół, cały zarzucony najrozmaitszymi dziwnymi narzędziami, kółkami, kółeczkami, śrubkami i śrubeczkami. Patyczek zaśwycił latarkę i z zaciekawieniem się temu wszystkiemu przyglądał, ale nic nie dotykał, nie chcąc Zegarmistrzowi przewracać na stole. Po chwili z sąsiedniego pokoju usłyszał przez drzwi krzyki papugi:

— Bronisz zbója! Bronisz zbója! Bronisz zbója! Bronisz zbója! — wymyślała Papuga Zegarmistrzowi i zaczęła z całej siły walić dziobem w drzwi, ale Patyczek już się nie bał, bo wiedział, że Papuga drzwi nie wybije. Papuga też widocznie sama zdała sobie z tego sprawę, bo przestała dziobać. Mruczała coś jeszcze za drzwiami przyciszonym głosem. Zegarmistrz jej odpowiadał, ale oddzielnych wyrazów Patyczek już nie rozumiał. Zresztą tak był zmęczony po tych wszystkich przejściach, że ledwo

siedział. Oczy same zamykały mu się do snu i głowa opadała na piersi. Wyciągnął się na kanapie i od razu zasnął.

Kiedy się obudził, już był jasny dzień. Patyczek ze zdziwieniem spostrzegł, że go ktoś w nocy rozebrał, wsunął mu pod głowę białą, miękką, czyściuteczką poduszkę i nakrył go kołdrą. Patyczek spał tak mocno, że nie czuł tego wszystkiego. Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mu się spać tak miękko i wygodnie, to też żał mu się było budzić. Rozejrzał się po pokoju i przymknął z powrotem oczy, chcąc spać jaknajdłużej, ale w tej chwili drzwi skrzypnęły i do pokoju wszedł Zegarmistrz. Patyczek z przerażeniem zauważył, że zegarmistrz nie miał jednego wąsa.

— To ta obrzydliwa Papuga panu wås oberwała! — wykrzyknął.

— Tak — odparł smutnym głosem Zegarmistrz. Usiadł przy stoliku, wyjął z szuflady małe lusterko i pudełko z farbami, nalał w szklankę wody, umoczył w wodzie pędzelek, rozrobił farbę i domalował sobie długi, czarny wås. Potem przejrzał się jeszcze raz w lusterku i z zadowoleniem zatarł ręce.

— Jakoś to będzie, póki mi prawdziwy nie odrośnie — powiedział.

Po tem można już było poznać, że zegarmistrz był dobry i mądry człowiek, który umiał radzić sobie w życiu.

Patyczek od razu Zegarmistrza polubił. I nie mógł wyjść z podziwu, że Zegarmistrz trzymał u siebie w domu Papugę, która go dziobała i odrywała mu wąsy.

— Przepraszam pana — odezwał się nieśmiało. — Czy ja się mogę o coś zapytać?

— Zapytaj się — odpowiedział zegarmistrz.

— Dlaczego pan tej obrzydliwej Papugi nie zabije?

Zegarmistrz zmarszczył brwi, jakgdyby to pytanie było dla niego nieprzyjemne i po chwili dopiero odpowiedział:

— Bo to jest moja żona.

Pierwszy raz w życiu zdarzyło się Patyczkowi słyszeć, żeby ktoś miał Papugę za żonę. Nie śmiał się pytać, dlaczego Zegarmistrz ożenił się z Papugą, ale Zegarmistrz sam się domyślił, że Patyczek musiał się strasznie zdziwić, uśmiechnął się zlekka i powiedział:

— Zaraz ci wszystko wytłomaczę, tylko przedtem ty mi opowiedz całą swoją historję.

Patyczek opowiedział Zegarmistrzowi po kolei wszystkie swoje przygody: o śmierci matki, o tem, jak go Gałganiarka chciała przygarnąć, a Gałganiarz za okno wyrzucił i wreszcie, jak go zbóje spotkali na ulicy i przyprowadzili ze sobą do

sklepu. Zegarmistrz słuchał z ogromnym zaciekawieniem. Kiedy Patyczek opowiadał o Gałganiarzu, zegarmistrz zmarszczył brwi, uderzył pięścią w stół i krzyknął:

— A to łotr!

Potem pogłaskał Patyczka po głowie i powiedział:

— Mój Patyczku, jesteś dzielny chłopiec, uratowałeś mi

cały majątek. Ponieważ nie masz nikogo na świecie, więc ja się tobą zajmę, będziesz u mnie mieszkał i uczył się zegarmistrzostwa. Chcesz u mnie zostać?

— Dobrze! — krzyknął radośnie Patyczek, ale zaraz zmarkotniał, bo przyszło mu na myśl, że będzie musiał mieszkać pod jednym dachem ze złą Papugą.

Zegarmistrz wyczytał mu tę obawę z oczu i zaczął go uspokajać.

— Mojej żony nie potrzebujesz się obawiać — powiedział. — Ja ci nic złego nie dam zrobić.

I z fantazją chciał podkręcić węża. Sięgnął ręką, ale z tej strony właśnie, gdzie prawdziwego węża nie miał, tylko domalowany. Patyczek pomyślał sobie, że nie bardzo mógł być tego pewien, czy Zegarmistrz naprawdę potrafi go bronić przed złością Papugi, a ponieważ za drzwiami rozległ się jakiś szmer, więc zerwał się z kanapy i ze strachem rozejrzał się po pokoju, ba nie było się tam gdzie schować.

— Nie bój się — powiedział Zegarmistrz — mojej żony niema w domu.

— A czy pani Papuga na ulicy ludzi nie dziobie? — zapytał Patyczek.

— Moja żona — odparł Zegarmistrz — na ulicy jest kobietą. Dopiero w domu zamienia się w Papugę.

I opowiedział Patyczkowi, jak to było. Przed trzema laty przyszedł raz do Zegarmistrza pewien staruszek i zażądał, żeby

mu Zegarmistrz zrobił taki zegar, któryby nigdy nie pokazywał północy, tylko, zaraz po jedenastej pierwszej. Zegarmistrz odpowiedział, że takiego zegaru nie zrobi, bo to byłoby oszukiwanie czasu. Staruszek prosił go, błagał, zaklinał, obiecywał mu hojną zapłatę, ale Zegarmistrz nie dał się skusić, bo bardziej cenił zegarmistrzowski swój honor, niż pieniądze. Otóż ten staruszek był to czarownik, który posiadał tajemniczą moc robienia różnych nadzwyczajnych rzeczy. Ale przez dwie godziny co wieczór, właśnie od jedenastej do pierwszej w nocy czarownik tracił całą swoją moc i stawał się zupełnie bezsilny. W ciągu tych dwóch godzin nawet małe dziecko mogło go było zabić. Taki urok rzuciła na niego pewna Dobra Wróżka za to, że całej swojej czarodziejskiej władzy używał on tylko na robienie złych rzeczy. Czarownik strasznie się bał co wieczór, zamykał się w mieszkaniu, zaryglował wszystkie drzwi i, kiedy leżał przez dwie godziny na kanapie, drżał wciąż ze strachu i za lada szmerem zimny pot go oblewał. W końcu wpadł na taki pomysł, żeby sprawić sobie oszukany zegar, bo zdawało mu się, że w ten sposób uda mu się urok zmylić. Powiedziano mu, że był tylko jeden zegarmistrz w całym kraju, który taki zegar potrafiłby zrobić — właśnie ten, który przygarnął Patyczka. Czarownik przez złość, że Zegarmistrz nie chciał przystać na jego propozycje, zaczarował mu żonę tak, że w domu zmieniała się w papugę. Kobiecą postać mogła odzyskiwać tylko wtedy, kiedy wychodziła na miasto. Zegarmistrz

mówił, że było to ulubione zajęcie czarownika i że wielu ludziom pozaklinał on żony w ten sposób. W końcu wytłumaczył Patyczkowi, że Pan Bóg na to stworzył papugi, żeby pokazać ludziom, że można mówić ludzkim głosem i być nierozumnym stworzeniem, podczas gdy wielu ludzi sądzi, że dlatego tylko, że umieją mówić po ludzku, już są rozumnymi stworzeniami.

Patyczek się ubrał i poszedł z zegarmistrzem do sklepu. Zegarmistrz zaczął nakręcać zegary, a Patyczek stanął przy drzwiach i wyglądał przez szybę na

ulicę.

— O, idzie moja żona — odezwał się nagle zegarmistrz.

Patyczek zobaczył bardzo ładną panią, która przechodziła przez środek ulicy w kierunku sklepu. Ta pani była wesoła, uśmiechnięta, i Patyczkowi w głowie się nie mogło pomieścić, żeby to miała być ta sama straszna papuga, która go napastowała w nocy. Myślał, że zegarmistrz zażartował sobie z niego poprostu. Ale, kiedy pani ujęła za klamkę i otworzywszy drzwi, znalazła się na progu sklepu, w jednej chwili w oczach Patyczka zamieniła się w Papugę. Z nosa jej się zrobił haczykowany dziób, z uszu skrzydła, zatrzepotała strasznie skrzydłami i od razu rzuciła się na Patyczka.

— Czego tu chcesz? Czego tu chcesz? Czego tu chcesz? Czego tu chcesz? — skrzeczała, zamierzając się na niego dziobem.

— Uciekaj, Patyczku! — krzyknął zegarmistrz.

Patyczek znów uciekł do pracowni zegarmistrza i zamknął się na klucz. Był bardzo smutny, bo strasznie chciał u zegar-

mistrza zostać i uczyć się zegarmistrzostwa i myślał sobie, jakby to pięknie było, gdyby nie Papuga. Przytem ogromnie chciało mu się jeść. Po godzinie rozległo się silne pukanie do drzwi. Patyczek bał się otworzyć, bo myślał, że może to Papuga naumyślnie tak podstępnie puka, ale zaraz usłyszał głos Zegarmistrza:

— Nie bój się, Patyczku, to ja... Otwórz.

Patyczek otworzył i z przerażeniem zobaczył, że Zegarmistrz nie miał już i drugiego wąsa. Papuga znów mu go oberwała. Zegarmistrz przyniósł Patyczkowi obiad. Przez ten czas, kiedy Patyczek jadł, Zegarmistrz domalował sobie drugi wąs, tak, że: oba miał namalowane. Przejrzał się w lustrze i powiedział z zadowoleniem:

— Teraz to nawet lepiej wygląda, bo już się jedna strona od drugiej nie różni.

— Czy pani Papuga zawsze jest w domu taka zła? — zapytał Patyczek.

— Niestety, prawie zawsze — odparł z westchnieniem Zegarmistrz. Potem zmarszczył brwi, założył ręce w tył i zaczął; zamyślony spacerować po pokoju. Patyczek się nie odzywał, żeby mu nie przeszkadzać. Zegarmistrz długo myślał, raz po raz tarł ręką czoło, aż wreszcie zatrzymał się przed Patyczkiem, popatrzył na niego i powiedział:

— Patyczku, czy ty jesteś odważny?

— Jestem — odparł Patyczek i zadarł głowę do góry.

Zegarmistrz, widząc chudziutkiego Patyczka, który się tak nasrożył, uśmiechnął się mimowoli.

— Mam taki plan — rzekł: — Czarownik chciał, żebym mu zrobił oszukańczy zegar.

Otóż ja powiem, że mu taki zegar zrobiłem. Poślę mu duży zegar, a ty się schowasz we środku. Pomiędzy jedenastą a pierwszą, kiedy czarownik będzie zupełnie bezsilny, wyjdiesz i zagroisz mu, że go zabijesz, jeśli nie odczaruje mojej żony. Wtedy on ją odczaruje napewno.

Patyczek chętnie się na to zgodził. Zegarmistrz zawiadomił od razu czarownika, że udało mu się zrobić taki zegar, który nigdy nie pokazywał północy. Czarownik odpisał w tej chwili, strasznie Zegarmistrzowi dziękował i kazał sobie zegar jeszcze tego samego dnia przed wieczorem przysłać. Zegarmistrz poszedł z Patyczkiem do sklepu, wybrali duży, szafkowy zegar i Patyczek schował się w środku. Zegarmistrz dał mu ostry nóż na obronę i torbę z jedzeniem, w której były bułki, szynka, czekoladki, ciastka i owoce. Przedtem jeszcze Zegarmistrz przełożył zamek w szafce, tak, że można ją było otworzyć tylko od środka. Patyczek zamknął się na klucz i zaraz potem uczył, że go razem z zegarem podnoszono w górę. I usłyszał, jak Zegarmistrz mówił do posłańców:

— Tylko nieście bardzo ostrożnie, bo to jest niesłychanie cenny zegar.

Posłańcy szli bardzo wolno, odpoczywali po drodze. Skarzyli

się, że jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło im się nosić tak ciężkiego zegaru. Wreszcie przynieśli zegar do czarownika. Czarownik kazał go ustawić pod ścianą; ledwo posłańcy odeszli, od razu próbował otworzyć szafkę. Patyczek zdrętwiał z przerażenia.

— Ostatnia moja godzina wybiła! — pomyślał. Ścisnął nóż w ręce, ale cóż by taki chudziutki Patyczek potrafił czarownikowi zrobić. Na szczęście czarownik, zobaczywszy, że w zamku nie było kluczyka, mruknął tylko:

— Osiół Zegarmistrz nie przysłał mi kluczyka, musi mi jutro przysłać.

I odszedł. Prawdę powiedziawszy, czarownikowi tak na tym zegarze zależało, że bał go się ruszać, żeby go nie popsuć. Patyczek odetchnął z ulgą. I zaczęło się strasznie męczące wyczekiwanie. Godziny płynęły wolno, Patyczkowi oczy kleiły się do snu, ale bał się zdrzemnąć, żeby nie przespać północy. Zjadł szynkę, ciastka, czekoladki i owoce i nie mógł się jedenastej doczekać.

Wreszcie zegar zaczął wydzwaniać jedenastą.

Kiedy ostatnie uderzenie umilkło, Patyczek otworzył szafkę i wyskoczył do pokoju. W pokoju ciemno było zupełnie, ale Patyczek miał ze sobą elektryczną latarkę, którą mu dali zbóje, kiedy chcieli, żeby razem z nimi obrabował sklep Zegarmistrza. Patyczek nacisnął guzik i długi promień światła padł wprost na Czarownika, który leżał bezsilny na kanapie.

Na twarzy Czarownika odmalowało się straszne przerażenie.

Wszystkie włosy ze strachu stanęły mu na głowie, a ponieważ miał długie włosy, więc sterczały mu aż poza kanapę.

— Nie zabijaj mię — jęknął cichym głosem..

— Odczaruj żonę Zegarmistrza — krzyknął Patyczek. Czarownik nic na to nie odpowiedział. Przymknął oczy i zaczął udawać umarłego. W pierwszej chwili Patyczek pomyślał, że Czarownik umarł naprawdę i strasznie się przestraszył, bo w takim razie żona Zegarmistrza już by na zawsze została Papugą. Na szczęście jednak Patyczkowi zaraz przyszło na myśl, że chytry Czarownik mógł tylko udawać. Postanowił to sprawdzić. Wyrwał Czarownikowi z głowy jeden włos i tym włosem zaczął mu kręcić w nosie. Czarownik po chwili kichnął strasznie.

— Odczaruj żonę Zegarmistrza — krzyknął Patyczek.

I ponieważ Czarownik znów nic nie odpowiedział, zaczął mu kręcić w drugiej dziurce od nosa. I tak dalej naprzemian, to w jednej to w drugiej. Kiedy Czarownik kichnął z dziesięć razy, tak, że mu od tego kichania łzy ciurkiem leciały z oczu, odezwał się wreszcie:

— Dobrze.

Ale Patyczek tak na słowo mu nie uwierzył. Wyjął nóż i przytknął mu go do gardła. Wtedy przerażony Czarownik, widząc, że to nie przelewki, oddał Patyczkowi pierścień, z którego czerpał czarodziejską siłę.

Patyczek wrócił do domu i odczarował żonę Zegarmistrza.

Potem odszukał i ukarał Gałganiarza. I w tej samej chwili, kiedy Gałganiarz utopił się w Wiśle, Patyczkowi znikł pierścień z kieszeni. Na palcu Patyczek nie mógł go nosić, bo pierścień był dla niego za duży, musiałby cztery palce razem złożyć, żeby mu się utrzymał. Patyczek myślał z początku, że pierścień zgubił, strasznie się zmartwił i szukał go wszędzie, ale napróżno. Pierścień rozsypał się w proch, bo czarodziejska jego siła była już na ukończeniu i starczyło jej tylko jeszcze na dwa czary.

Żona Zegarmistrza, przez wdzięczność za to, że Patyczek ją odczarował, pokochała go, jak rodzone dziecko. Znalazłszy dobrych ludzi, którzy nim się zaopiekowali, Patyczek mógł skończyć szkołę, wychodząc na porządnego człowieka i żyć szczęśliwie bez pomocy czarów.

PAN ROZPĘDEK.

Był jeden szewc, który się nazywał pan Rozpędek. Jak wyszedł na miasto, z początku szedł powoli, a potem coraz prędzej, coraz prędzej, coraz prędzej, aż wreszcie jak się rozpędził, to tak pędził, że prześcigał doróżki i tramwaje. Ma się rozumieć po mieście tak biegać nie można, to też pan Rozpędek miał rozmaite przykre zajścia. Jedni ludzie myśleli, że goni złodzieja, inni, że on sam jest złodziejem, zaczęli biedzić za nim i kończyło się na tem, że pan Rozpędek o coś się potykał, przewracał jak długi, a inni na niego. Kilka razy w ten

sposób o mało co pana Rozpędkę nie zaduszono. Gorzej było w domu. Gdy pan Rozpędek brał się do roboty i zaczynał wbijać gwoździe w obcas, z początku bił młotkiem powoli, a potem coraz prędzej, coraz prędzej, aż wreszcie, jak się rozpędził, walił tak, że zawsze cały obcas roztrzaskał. Buty były na nic i pan Rozpędek zamiast dostać za robotę pieniędzy, musiał jeszcze nowe buty ludziom odkupywać. Łatwo się domyśleć, że jego rzemiosło nie wiele mu przynosiło zysku. Tak samo pan Rozpędek mówił. Z początku powoli, tak, że każdy wyraz można było zrozumieć, a potem coraz prędzej, coraz prędzej, coraz prędzej, aż wreszcie już nic nie było słyhać, tylko trrr... jakby fryga latała po podłodze.

Na tej samej ulicy, co pan Rozpędek, w okazałym domu, mieszkała wdowa po bankierze Lubigrosiku. Pani Lubigrosikowa była bardzo bogata, ale strasznie skąpa. Pewnego razu przysłała panu Rozpędkowi przez służącą buciki do podzelowania. Pan Rozpędek aż się za głowę złapał. Nigdy w życiu takich bucików nie widział. Łata siedziała na łacie i jeszcze każda łata była cztery razy załatana.

— Niech pan to na jutro zrobi — powiedziała służąca, — bo moja pani niema w czem wyjść na miasto.

Pan Rozpędek wziął się do roboty, ale jak zaczął szyć i kuć dratwę, tak się rozpędził, iż po chwili z jednego bucika ani strzępków nie pozostało. Pan Rozpędek strasznie się zmartwił, ale cóż

było robić. Wziął drugi bucik na miarę, kupił u innego szewca parę nowych bucików takiej samej wielkości i na drugi dzień rano, wzięwszy buciki pod pachę, poszedł do pani Lubigrosikowej. Ponieważ pani Lubigrosikowa mieszkała bardzo blisko od niego, więc nie miał czasu się rozpędzić. Wszedł po schodach, wyłożonych ładnym czerwonym dywanem, na pierwsze piętro i zadzwonił do drzwi. Z jednej strony na drzwiach była skrzynka do listów, a z drugiej mały, okrągły otwór, zasłonięty mosiężną klapką, jak to czasem we drzwiach robią, żeby można było zobaczyć z wewnątrz, kto dzwoni. Panu Rozpędkowi długo nie otwierano i z nudów zaczął sobie bębnić palcami po drzwiach. Nie wiedział, że go nie wpuszczano, bo służącej nie było, a pani Lubigrosikowa nigdy nie chodziła sama otwierać drzwi. Tym razem jednak, usłyszawszy, że ktoś bębni palcami po drzwiach, zaciekawiona zbliżyła się, żeby zobaczyć, co to takiego. Uchyliła mosiężnej klapki i przysunęła do otworu oko. Ale pan Rozpędek zdążył się już rozpędzić i pac — wyrznął ją z całej siły w oko. Pani Lubigrosikowa krzyknęła przeraźliwie i przewróciła się na podłogę. Na ten krzyk dopiero pan Rozpędek zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Przestraszył się i uciekł. I tak się

rozpędził, uciekając, że zatrzymał się dopiero daleko po za miastem i, nim zdążył do domu wrócić, zrobił się już wieczór. Na drugi dzień rano przysła do niego służąca pani Lubigrosikowej.

— Na moją panią — zaczęła mu opowiadać — chcieli na-

paść wczoraj zbóje. Szczęściem, że drzwi są bardzo mocne, bo inaczej byłiby ją zabili i obrabowali.

Pan Rozpędek udał, ma się rozumieć, że o niczem nie wie, i z zaciekawieniem zaczął się wypytывать, jak to było. Służąca powiedziała mu, że przyszło czterech zbójów i, że jeden z nich chciał pani Lubigrosikowej wybić sztyletem oko. Odrazu takie plotki urosły. Pan Rozpędek udawał, że wszystkiemu wierzy.

— No, no — powiedział — jak to teraz niebezpiecznie na świecie. — I, niby to z podziwu, zaczął kiwać głową. Z początku powoli, potem coraz prędzej, coraz prędzej, coraz prędzej, aż z rozmachu szyja mu się tak wydłużyła, że raz po raz to się uderzał głową w brzuch, to znów odrzucał ją sobie za plecy. Służącej, która pierwszy raz w życiu coś podobnego widziała, strasznie się to podobało. Myślała, że pan Rozpędek umie sztuki pokazywać. Ale to wszystko jeszcze nie było niczem w porównaniu z podziwem, jaki ją ogarnął, kiedy pan Rozpędek oddał jej buciki pani Lubigrosikowej.

— Przecież to nowiućkie buciki — krzyknęła — a ja panu przyniosłam stare i podarte.

— Bo ja tak umiem naprawiać — skłamał z miejsca pan Rozpędek, — że choćby mi najbardziej podarte buty przyniesiono, oddaję zupełnie nowe.

Służąca oniemiała z podziwu. Otworzyła usta tak szeroko, jak dla doktora, kiedy chce gardło obejrzyć, a potem wzięła

buciki delikatniutko, jakby były ze szkła. Pan Rozpędek strasznie się śmiał i cieszył, że mu się udało tak ją zwięść, ale niedługo trwała jego radość, bo tego samego dnia, jeszcze po południu, pani Lubigrosikowa przysłała mu trzydzieści par starych butów do naprawy. Pozbierała wszystkie najstarsze buty, jakie miała w domu: dziurawe, bez obcasów, bez podeszew. Miała tego mnóstwo, bo ponieważ była bardzo skąpa, więc nigdy starych butów nie podarowała nikomu biednemu, tylko chowała w komórce. Służąca musiała wziąć ze sobą kosz, żeby te buty przydzwigać. Kiedy pan Rozpędek tyle butów zobaczył, odrazu twarz mu się wydłużyła i to tak, że aż brodą stuknął o stół.

— Nie będę tych butów naprawiał! — krzyknął. I ponieważ był zły, więc się odrazu rozpędził.

— Tyle butów, za dużo butów — zaczął powtarzać szybko, coraz szybciej, tak, że po chwili już nic nie było słychać, tylko: "tów, tów, tów, tów" — zupełnie, jakgdyby szedł pociąg. Służąca przestraszyła się i uciekła.

— Ten szewc to musi z djabełem trzymać. Ja już więcej do niego nie pójde — powiedziała, powróciwszy do domu.

— A niech trzyma z kim chce, byle mi te buty na nowe poprzerabiał — odparła pani Lubigrosikowa. Bo tak sobie umyśliła, że jak jej pan Rozpędek wszystkie buty na nowe poprzerabia, to ona wtedy część schowa dla siebie, a część posprzedaje znajomym, jako zupełnie nowe buty i dużo zarobi. Służąca uparła się jednak

i już drugi raz nie chciała iść do pana Rozpędka. Pani Lubigrosikowa musiała się więc wybrać sama. Wystroiła się w najładniejszą suknię, wzięła kapelus z ogromnem białem piórem i poszła. Naumyślnie się tak ubrała, bo pomyślała sobie, że gdy szewc tak wspaniałą damę zobaczy, to nie będzie jej się śmiał sprzeciwiać. Nie wiedziała, że pan Rozpędek miał bardzo czule serce i, że oddawna już chciał się ożenić. Kiedy zobaczył panią Lubigrosikowa, odrazu się w niej zakochał. Ukląkł i oświadczył się o jej rękę.

Pani Lubigrosikowa uciekła od pana Rozpędka jeszcze prędzej, niż jej służąca. Wydało jej się to niesłychaną bezczelnością, że zwykły szewc śmiało pomyśleć nawet o tem, żeby się z nią ożenić — z nią, bogatą wdową po bankierze! Przez całą drogę trzęsła się z oburzenia i, powróciwszy do domu, powiedziała do służącej:

— Ten szewc nie trzyma z djabełem, tylko jest warjat i głupiec. Obejdę się bez jego roboty.

Ale naprawdę bardzo jej żal było, że już nie mogła dać panu Rozpędkowi butów do przerobienia. Przez cały wieczór myślała o tem, jakby go podejść. I postanowiła go oszukać. Na drugi dzień rano usiadła przy biurku i napisała do niego taki list: "Panie Rozpędek, jeżeli pan naprawi mi te wszystkie buty, to zgodzę się zostać pańską żoną". I, żeby to jeszcze bardziej wyglądało na prawdę, posłała mu razem z listem dwie róże.

Pan Rozpędek siedział w domu smutny, głośno wzdychał

i raz po raz łza kapłała mu z oczu na podłogę. Gdybym nie był szewcem — myślał — to napewno pani Lubigrosikowa zgodziła by się zostać moją żoną. I poczuł taki wstręt do swego rzemiosła, że postanowił sprzedać warsztat i wziąć się do czego innego. To postanowienie dodało mu humoru, otarł łzy, ubrał się i już miał wyjść na miasto, żeby szukać kupca na warsztat, gdy nagle zjawił się posłaniec od pani Lubigrosikowej z listem i z różami. Łatwo sobie wyobrazić, jak się pan Rozpędek ucieszył. Chwytał posłańca wpół i zaczął go całować i ścisnąć, ale ponieważ z uciechy rozpędził się odrazu, więc ścisnął posłańca coraz mocniej, coraz mocniej, aż w końcu zaczął nim tak tarmosić, że go o mało nie zadusił. Posłańca z początku ucieszyło tak radosne przyjęcie, bo coby naprawdę nigdy w życiu nie zdarzyło mu się jeszcze, żeby go kto po odebraniu listu ścisnął i całował, ale wnet, kiedy od uścisków pana Rozpędka już mu żebra zaczęły trzeszczeć, strach go zdjął. Chcąc się wyrwać, podstawił panu Rozpędkowi nogę i obaj wywrócili się na podłogę. Nareszcie posłańcowi udało się uciec. Pan Rozpędek upadając, tak się uderzył w kolano, że nie mógł chodzić. Usiadł na krześle i mruknął:

— Znów się rozpędziłem, szkoda.

Bo panu Rozpędkowi zawsze się zdawało, że potrafi tak panować nad sobą, żeby się nie rozpędząć, i zawsze jak się rozpędził, pocieszał się potem, że to wydarzyło mu się ostatni raz przez nieuwagę.

Po ucieczce posłańca, pan Rozpędek przeczytał jeszcze raz

list pani Lubigrosikowej i trochę zmarkotniał. Na to, żeby kupić trzydzieści par butów, nie miał pieniędzy, bo już wydawał resztki swojej fortuny. Zaczął myśleć, drapać się w głowę, strasznie długo myślał, aż wreszcie twarz mu się rozjaśniła. Poszedł do innego szewca, opowiedział mu całą historję i poprosił o pożyczenie trzydziestu par butów, obiecując, że jak tylko zostanie mężem pani Lubigrosikowej, to mu podwójnie za nie zapłaci. Tamten szewc, ma się rozumieć, zgodził się chętnie na taki dobry interes. Dobrali z panem Rozpędkiem buty, według starych, tak, żeby wszystkie były jednakowej wielkości i tego samego dnia przed wieczorem pan Rozpędek zjawił się u pani Lubigrosikowej z butami. Wdowa aż się za głowę złapała z podziwu.

— Już pan zdążył naprawić wszystkie te buty — wykrzyknęła.

— Bo ja jestem taki szewc — skłamał z miejsca pan Rozpędek, — że robota pali mi się w rękach. Jak usiądę, to w godzinę mogę trzydzieści par starych butów przerobić na nowe. — Powiedziawszy to, podkreślił węża, ukląkł i znów się oświadczył o rękę wdowy.

Tym razem pani Lubigrosikowa już się nie oburzyła na jego propozycję. Chciwość wzięła w niej górę nad dumą.

— Niech pan poczeka chwilę — powiedziała — zaraz dam panu odpowiedź. Wyszła do drugiego pokoju, usiadła przy biurku, wzięła ołówek i kartkę papieru i zaczęła liczyć. — Jeżeli w ciągu jednej

godziny — rachowała — pan Rozpędek może naprawić trzydzieści par butów, to w ciągu dnia, przez dwanaście godzin naprawi trzysta sześćdziesiąt par, a w ciągu roku, przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni — ale tu już było takie ogromne mnożenie, że pani Lubigrosikowa nie mogła dać sobie z niem rady. W każdym razie jednak przekonała się, że byłaby to olbrzymia liczba butów. I to ją zdecydowało, żeby wyjść za mąż za pana Rozpędkę.

— Dobrze — powiedziała, wyszedłszy do salonu, gdzie pan Rozpędek na nią czekał — zgodzę się zostać pańską żoną.

Odrązami zamienili pierścionki, pan Rozpędek miał na szczęście bardzo ładny pierścionek, który się pani Lubigrosikowej ogromnie podobał i, jako narzeczeni, postanowili pójść w Aleje na spacer.

— Niech pani chwilę poczeka — powiedział pan Rozpędek — ja skoczę tylko do domu i przebiorę się, żeby ładnie wyglądał.

Postanowił się tak wystroić, żeby nikt nie mógł poznać, że był szewcem. Powyciągał w domu z szaf najpiękniejsze, jakie miał, ubranie. Włożył frak, jasne spodnie, cylinder na głowę, wziął ogromny jedwabny parasol i tak wystrojony wstąpił do pani Lubigrosikowej. Po drodze wstąpił jeszcze do sklepu z kwiatami i kupił dwa bukiety róż — jeden dla narzeczonej, drugi dla siebie. Pani Lubigrosikowa ubrała się w swoją najpiękniejszą suknię, włożyła kapelusz z białym piórem i oboje byli sobą zachwyceni i bardzo dumni. Wzięli się pod rękę i poszli w Aleje. Ludzie, widząc tak piękną parę, przystawali na ulicach i przyglądali się im z podziwem.

— Byłem się tylko nie rozpędził — przestrzegał się w myśli pan Rozpędek, bo czuł, że byłoby to bardzo niestosowne, gdyby tak pięknie wyglądający mężczyzna, prowadzący tak wytworną damę pod rękę, zaczął nagle pędzić, jak warjat. Ale niestety, na nic się te przestrogi nie zdały. Pan Rozpędek wnet zaczął myśleć o czym innym, mianowicie o tem, że się ożeni, że zostanie bogatym człowiekiem, z dumą spoglądał na przechodniów i wyobrażał sobie, jak mu muszą zazdrościć i, zapomniawszy pod wpływem tych uczuć o swoich postanowieniach, żeby się nie rozpędzać, machinalnie zaczął przyspieszać kroku.

— Nie tak prędko — krzyknęła pani Lubigrosikowa — bo mi tchu braknie. Wdowa była otyła i nie mogła prędko chodzić. Ze zmęczenia twarz jej zrobiła się już czerwienią od róż, które jej ofiarował pan Rozpędek. Ale pan Rozpędek zaczynał się już rozpędzać i nie zwracał na nic uwagi. Przyspieszał kroku coraz bardziej, coraz bardziej, coraz bardziej, aż zaczął pędzić po swoim, tak, że prześcigał doróżki i tramwaje. Ma się rozumieć, pani Lubigrosikowa nie mogła mu nadążyć. Przewróciła się, a pan Rozpędek włożył ją za sobą po kamieniach, dopóki ludzie go nie przytrzymali. Tłum się zebrał i panią Lubigrosikową trzeba było cucić, bo zemdląca. Suknia się na niej podarła, zgubiła kapelusz z białym piórem i, kiedy ją odwieziono doróżką do domu, to ze strachu i z bólu, bo całe ciało miała posiniaczone, musiała

się położyć do łóżka i zawezwać doktora. Doktor kazał jej leżeć trzy miesiące w łóżku.

Oczywiście po takiej przechadzce pani Lubigrosikowa już ani słyszeć o tem nie chciała, żeby wyjść zamaż za pana Rozpędkę. Szewc, od którego pan Rozpędek wziął buty dla pani Lubigrosikowej, dopominał się pieniędzy, ale oczywiście pan Rozpędek nie miał mu czem zapłacić. Szewc wytoczył mu sprawę i wsadził do kozy. Kiedy pan Rozpędek siedział zamknięty, czasami rozlegało się w jego celi głośnie

stukanie. To Panu Rozpędkowi tak się twarz wydłużała ze zmartwienia, że stukał brodą o podłogę.

O SZCZUPAKU, KTÓRY UMIAŁ TAŃCZYĆ.

Był pewien Grajek, który chodził po ulicach i po podwórzach i grał na skrzypcach. Grał bardzo ładnie, to też ludzie dość chętnie rzucali mu miedziaki, ale ponieważ Grajek miał żonę i czworo dzieci, więc to wszystko, co mógł uzbierać, nie wystarczało mu na życie. Żona Grajka była chora i nie mogła zarabiać, dzieci były małe i wciąż w domu głód panował. Przyszedł taki tydzień, że Grajek choć wygrywał całymi dniami od rana do wieczora, od nikogo ani grosza nie dostał. W końcu ze złości tak zaczął walić smyczkiem po skrzypcach, że mu wszystkie struny popękały. Przez to stracił już zupełnie możliwość zarabiania i z rozpaczą postanowił się utopić. Poszedł

nad rzekę, stanął nad samym brzegiem wody, przymknął oczy, powiedział: "Raz, dwa, trzy" i nie skoczył, bo mu w ostatniej chwili zabrakło odwagi. Ale myślał, że mu jeszcze odwaga przyjdzie. Powiedział sobie: "Do trzech to zamało, trzeba policzyć do dziesięciu." Przymknął oczy, zaczął liczyć, policzył do dziesięciu i znów nie skoczył. Wtedy powiedział sobie: "I do dziesięciu za mało, trzeba policzyć do stu." Trzeci raz przymknął oczy i zaczął liczyć. Kiedy doliczył do piędziesięciu, usłyszał nagle, jak go ktoś pytał:

— Co pan tak rachuje?

Grajek otworzył oczy i zobaczył obok siebie Rybaka, który stał i ze zdziwieniem mu się przyglądał. Rybak w ręce trzymał wędkę, a na plecach miał kosz, w którym było pełno ryb. Grajkowi na widok ryb aż się oczy zaiskrzyły. Wyobraził sobie, coby to była za radość w domu, gdyby tak przyniósł żonie i dzieciom trochę ryb na kolację. Zdjął kapelusz i pokornym głosem poprosił Rybaka:

— Niech mi pan podaruje kilka tych ryb.

Ale Rybak wzruszył ramionami i roześmiał się drwiąco.

— Jak kto chce mieć ryby — odparł — to je powinien złowić.

— Jabym łowił — powiedział Grajek — ale nie mam wędki. Pan teraz idzie do domu,

— dodał, spoglądając błagalnie na Rybaka — niech mi Pan pożyczy swojej wędki, jak pan wróci

to ją panu oddam, a może uda mi się przez ten czas choć kilka ryb ułowić.

— Jeszcze czego! — oburzył się Rybak — nowiuteńka wędka i będę ją jakimś obdartusowi pożyczał.

Popatrzył z pogardą na Grajka i powiedział:

— Mam starą wędkę, jeśli chcesz, to ci ją mogę sprzedać. Grajek tak nędznie wyglądał, że Rybak przestał mu już mówić "panie".

— Nie mam pieniędzy — szepnął cicho Grajek.

— To co mi głowę zawracasz — odparł gburowato Rybak. Odwrócił się i odszedł.

Grajek za młodu był strasznie hardy, za nic w świecie nikogo by o nic nie prosił, ale potem pod wpływem nędzy i głodu strasznie spokorniał, jak to się nieraz ludziom zdarza. Pobiegł za Rybakiem i zaczął mu opowiadać, o swojej niedoli, o głodnej żonie i dzieciach, myśląc, że go tem wzruszy. Ale Rybak już go nawet nie słuchał, szedł i pogwizdywał. W końcu Grajkowi przyszło na myśl,

żeby zaproponować Rybakowi zamianę starej wędki na skrzypce. Wprawdzie skrzypce nie miały strun, ale Rybaka stać było na to, żeby nowe struny kupić, a zresztą skrzypce i bez strun więcej były warte od wędki. Jednak Grajek długo się wahał nim to powiedział. Strasznie był przywiązany do swoich skrzypiec. Ale ryby, które Rybak miał w koszu, wyglądały tak apetycznie, że Grajek nie mógł się oprzeć pokusie i postanowił wszystko poświęcić, byle tylko móc sobie

kilka takich ryb ułowić. Drżącym głosem, tak jak gdyby mu wstyd było przed samym sobą, że coś podobnego mógł mówić, zaproponował Rybakowi zamianę. Rybaka zaciekała widocznie ta propozycja, bo przystanął i raczył spojrzeć wreszcie na Grajka.

— Ano, pokaż te skrzypce — powiedział.

Ale, kiedy zobaczył, że skrzypce nie miały strun, ogarnęła go taka złość, że wyrzwał Grajka z całej siły skrzypcami w głowę.

— Na to tylko twoje skrzypce się zdały! — krzyknął. Grajkowi od tego uderzenia spadł kapelusz z głowy. Miał on kapelusz cały w dziurach. Rybak, spojrzawszy na dziurawy kapelusz Grajka, roześmiał się drwiąco, kopnął kapelusz nogą i powiedział:

— Zrób sobie z tego kapelusza sieć i łap ryby.

I odszedł. Grajkowi z bólu i ze wstydu łzy popłynęły z oczu. Podniósł kapelusz, otrzepał go z kurzu, wrócił nad rzekę i usiadł nad samym brzegiem wody. Przez chwilę siedział ponuro zamyślony i wreszcie krzyknął:

— Ach, żeby mi Pan Bóg dodał odwagi do utopienia się w tej wodzie. — Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że powiedział wielkie głupstwo, bo przecież Pan Bóg nie mógł mu dodawać odwagi do popelnienia grzechu.

Po chwili więc krzyknął inaczej:

— Ach, żeby djabeł dodał mi odwagi do utopienia się w tej wodzie.

Ale djabłu nie zależało widocznie na mizernej duszy Grajka, a może się spodziewał, że i tak ją będzie miał za inne grzechy w piekle, bo nie pokwapił się na to wezwanie z pomocą. Grajek obejrzał się za siebie i zobaczył długi sznurek, który leżał na ziemi. Wziął ten sznurek i przywiązał go do kapelusza. Utkwiły mu w głowie słowa Rybaka: "Zrób z tego kapelusza sieć i łap ryby", a ponieważ ze zmartwienia już stracił rozum zupełnie, więc postanowił naprawdę łowić ryby w kapelusz. Cisnął kapelusz w wodę i czekał.

Nie bardzo w to wierzył naprawdę, aby mógł co w kapelusz ułowić, ale siedział, bo nic lepszego nie miał do roboty. Aż tu naraz, jak nie szarpnie za sznurek...

Grajek o mało do wody nie wleciał. Szczęściem, na brzegu był pal wbity w ziemię, do którego przewoźnicy przywiązywali łódki. Grajek zahaczył o pal nogą i dzięki temu udało mu się na brzegu utrzymać. Gdyby nie ten pal, napewno byłoby go wciągnęło do wody. Przewrócił się na wznak, oparł się jedną nogą o pal, drugą o ziemię i z całej siły zaczął ciągnąć za sznur.

Wyciągnął swój dziurawy kapelusz i aż osłupiał ze zdumienia. W kapeluszu siedział ogromny Szczupak. Na brzegu Szczupak wyskoczył z kapelusza, stanął na ogonie i powiedział ludzkim głosem:

— Mój dobry Grajku, nie każ mi się smarzyć na patelni, to ci pięknie zatańczę.

I odrazu zaczął tańczyć przed Grajkiem, przyczem sam sobie gwizdał i to właśnie te same wszystkie melodie, które Grajek zwykle grał na skrzypcach. Grajek raz i drugi przetarł oczy, tak jakby nie chciał wierzyć temu, na co patrzył. Potem przyszło mu na myśl, że może zdrzemnął się nad wodą i to wszystko śniło mu się tylko. Więc żeby się upewnić, że to nie było snem, uszczypnął się w nogę. Uszczypnął się mocno, że aż krzyknął z bólu. Szczupak przestał tańczyć, stanął przed Grajkiem, roześmiał się i powiedział:

— Nie dziw się Grajku, ja naprawdę umiem tańczyć. Zagraj mi na skrzypcach, to jeszcze piękniej zatańczę.

— Kiedy nie mam strun — odpowiedział Grajek. Nareszcie musiał już w to wierzyć, że udało mu się wyłowić takiego niezwykłego Szczupaka, który naprawdę umiał tańczyć.

Szczupak machnął lekceważąco pletwą.

— Jak kto umie grać — odpowiedział — to na wszystkim zagra. Zrób sobie struny ze sznurka.

Grajek pomyślał, że skoro działy się tak dziwne rzeczy, że Szczupak mówił ludzkim głosem i tańczył, to można było równie spróbować zagrać na sznurku. Odwiązał sznurek od kapelusza, pokrajał go kozikiem i porobił struny. Pociągnął smyczkiem po strunach i skrzypce zagrały jeszcze piękniej niż dawniej, kiedy miały prawdziwe struny.

— Zagraj mi walca — krzyknął Szczupak.

Grajek zagrał, a Szczupak zaczął tańczyć. Tańczył do upadłego i to naprawdę do upadłego, bo w końcu wyrzucił się na piasek i zaczął głośno sapać ze zmęczenia. Bardzo szybko jednak wypoczął i znów wyprostował się na ogonie.

— Teraz mi polkę zagraj — krzyknął.

Ale Grajek schował pod palto skrzypce i odpowiedział: "Dość". Nie chciał, żeby się Szczupak zanadto męczył, bo postanowił zaprowadzić go do miasta i pokazywać ludziom. Pewien był, że za takie widowisko zbierze dużo pieniędzy.

— Chodź — powiedział do Szczupaka — pójdziemy do miasta. Ale Szczupak strasznie się na to skrzywił i odparł, że on woli tańczyć nad rzeką. Napróżno Grajek prosił go i tłumaczył mu, że obaj staną się sławni i zarobią dużo pieniędzy.

Szczupakowi pieniądze na nic nie były potrzebne, a sława także go nie nęciła.

Grajek, widząc, że po dobroci nic ze Szczupakiem nie wskóra, zirytował się w końcu, wziął resztę sznurka, zrobił pętlę, zarzucił Szczupakowi na głowę i pociągnął go za sobą, Szczupak rad nie rad musiał iść za Grajkiem. Po drodze przyspiewywał ciekawym głosem:

— Niedobry Grajek, niedobry Grajek, niedobry Grajek. Grajek nie zwracał na to uwagi i przyspieszał kroku, żeby jaknajprędzej znaleźć się na dużym placu w mieście i dać przedstawienie. Kiedy przyszedł na plac, zobaczył tłum ludzi i usłyszał

muzykę. Był tam Cygan, który pokazywał tańczącego niedźwiedzia. Grajek schował Szczupaka pod palto, przepchnął się przez tłum i stanąwszy koło Cygana, krzyknął:

— Nie patrzcie na Niedźwiedzia, ja wam coś ciekawszego pokażę. Wypuścił Szczupaka i zaczął grać na skrzypcach. A Szczupak zatańczył. Było to tak dziwne widowisko, że nawet Niedźwiedź rozwarł szeroko paszczę i z podziwem patrzył na Szczupaka. Cygan zbladł z zazdrości, bo widział, że jego tańczący Niedźwiedź już nie zaciekawiał nikogo. Szczupak przetańczył polkę, walca, mazura, potem podskoczył na ogonie i uklonił się ładnie widzom. To się tak wszystkim podobało, że zaczęto rzucać Grajkowi już nie tylko miedziaki, ale srebrne i złote monety. Pewien bogaty człowiek, który stał w tłumie i przypatrywał się tańcom Szczupaka, chciał go od razu od Grajka kupić. Ofiarowywał mu cały worek złota. Ale Grajek odparł, że za nic w świecie Szczupaka nie sprzeda.

Cygan mienił się na twarzy. Z bladego zrobił się szary, z szarego zielony, wszystko z zazdrości. Potem odciągnął na bok swego Niedźwiedzia, szepnął mu coś do ucha i nagle Niedźwiedź, ze strasznym rykiem rzucił się na Szczupaka. Ale Szczupak skakał tak zręcznie i tak wysoko, że wciąż przeskakiwał Niedźwiedziowi przez łeb i Niedźwiedź nic mu nie mógł zrobić.

— Zagraj Grajku! — krzyknął Szczupak. — Ja będę gwizdał a ty to samo graj!
I Szczupak zagwizdał taką melodię, że Niedźwiedź od razu

się uspokoił i zaczął tańczyć. A Szczupak tańczył naprzeciwko niego. I to było tak niesłychane widowisko, że wszyscy ludzie, którzy na to patrzyli, o mało nie poszaleli z radości. Grajek znów zebrał dużo pieniędzy.

— Słuchaj, Cyganie — powiedział wtedy do Cygana — ja od ciebie tego Niedźwiedzia kupię: Dam ci to wszystko, co mam i jeszcze drugie tyle.

Cygan podrapał się w głowę, zastanowił się chwilę i zgodził się sprzedać Niedźwiedzia. Miał zamiar wziąć pieniądze, a potem zacząć śledzić Grajka i, wypatrzwszy odpowiednią chwilę, ukraść mu i Niedźwiedzia i Szczupaka. Grajek tego samego dnia dał jeszcze dwa przedstawienia i zebrał tyle pieniędzy, że mógł i Cygana zapłacić i kupić sobie nowe ubranie. Ludzie całym tłumem chodzili za nim po ulicach i Grajek stał się odrazu najślawniejszym człowiekiem w mieście. Bardzo często tak bywa, że powodzenie przewraca ludziom w głowach. Otóż i z Grajkiem tak się stało. Mimo, że w domu czekała na niego głodna żona i dzieci, Grajek nie myślał już wcale o tem, żeby do nich wrócić. Co innego zaświtało mu w mózgu. Niedaleko miasta mieszkał we wspaniałym zamku książę, który miał córkę słynną z urody, ale strasznie kapryśną. Nazywano ją "Ziewającą Księżniczką", bo zawsze była ze wszystkiego niezadowolona, nic jej się nie podobało i z nudów całymi dniami tylko ziewała. O rękę księżniczki starało się wielu bogatych i urodzi-

wych młodzieńców, ale ona wszystkich odpalała. Zapowiedziała w końcu, że tylko za takiego człowieka za mąż wyjdzie, który jej potrafi pokazać sztukę, jakiej jeszcze nie było na świecie. Grajek pomyślał sobie, że tego, żeby Szczupak tańczył z Niedźwiedziem, jeszcze nikt na świecie nie widział, choć widziano podobno, jak tańcowała ryba z rakiem, a pietruszka z pasternakiem, i postanowił starać się o rękę księżniczki.

Spędził noc w najpiękniejszym hotelu w mieście, w którym wynajął trzy pokoje, jeden dla siebie, jeden dla Szczupaka i jeden dla Niedźwiedzia i na drugi dzień od samego rana wybrał się do książęcego zamku. Z początku służba nie chciała go wpuścić. Stary, siwy kamerdyner był nawet dla niego bardzo niegrzeczny. Dopiero, kiedy Grajek zagrał i Szczupak zatańczył z Niedźwiedziem, olśniony kamerdyner pędem puścił się do księżniczki, żeby jej zameldować o przybyciu niezwykłych tancerzy.

Księżniczka, która leżała na kanapie i ziewała z nudów, ogromnie się z tego ucieszyła, że będzie miała ciekawe widowisko. Kazała Grajkowi iść ze Szczupakiem i z Niedźwiedziem do ogrodu i niebawem zjawiła się sama.

Grajek, ujrzawszy ją, oniemiał z podziwu. I nie tyle go zadziwiła nadzwyczajna uroda księżniczki, co jej włosy. Trzeba wiedzieć, że księżniczka z nudów malowała sobie każdy włos na inny kolor i wskutek tego miała na głowie włosy wszystkich kolorów, jakie są na świecie.

Grajek, który w nowym ubraniu, wystrzyżony, umyty, ogolony i uperfumowany bardzo pięknie wyglądał, ogromnie się podobał księżniczce. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i powiedziała:

— Bardzo się cieszę, że pan przyszedł mi pokazać tak niezwykle widowisko. Księżniczka powiedziała tak przez grzeczność, bo przez tę krótką chwilę, gdy szła ze swego pokoju do ogrodu, już ją ogarnęła nuda i straciła chęć do zabawy. Ale, kiedy Szczupak zaczął tańczyć z Niedźwiedziem, wpadła w zachwyt, śmiała się do rozpuku, klaskała w dłonie i kazała im tańczyć raz po raz. W końcu Niedźwiedź i Szczupak tak się pomęczyli, że razem wywrócili się na trawę i leżeli jeden obok drugiego, głośno sapiąc:

— Cudowne widowisko — wykrzyknęła Księżniczka. — Jeszcze nigdy w życiu nic podobnego nie widziałam.

I zgodziła się zostać żoną Grajka. Ślub miał się odbyć za tydzień. Grajek naglił, bo jaknajprędzej chciał zostać mężem Księżniczki. Przez tydzień Księżniczka wciąż się przyglądała tańcom Szczupaka i Niedźwiedzia, ale po tygodniu już jej się to znudziło. I powiedziała do Grajka:

— Obrzydli mi już ten Szczupak i ten Niedźwiedź. Każę ich pozabijać i przyrządzić na weselną ucztę.

Grajek zgodził się na to, bo już był pewien, że zostanie mężem Księżniczki i nie zależało mu na Szczupaku i Niedźwiedziu.

Na drugi dzień w kaplicy zamkowej odbył się ślub Grajka z Księżniczką, a potem miała być weselna uczta. Sproszono mnóstwo gości i zastawiono stoły w największej sali zamkowej. Dla Szczupaka znalazł się półmisek, ale żeby podać Niedźwiedzia, trzeba było zrobić nowy olbrzymi półmisek i na rozkaz Księcia dziesięciu jubilerów pracowało nad tym półmiskiem przez całą noc.

Olbrzymi niedźwiedź na srebrnym półmisku budził podziw wszystkich gości. Ale bardziej jeszcze dziwiło ich to, że obok Niedźwiedzia leżały na półmisku skrzypce ze strunami ze sznurków. Księżniczce przyszedł do głowy taki żart, i kazała położyć obok Niedźwiedzia skrzypce. Jedna z pań podniosła skrzypce i obejrzawszy je, powiedziała:

— Na takich skrzypcach grać nie można.

— Można! — krzyknął Grajek. I chcąc przekonać wszystkich, że mówił prawdę, chwycił w jedną rękę skrzypce, w drugą smyczek, uderzył nim po stronach i zaczął grać.

I co się stało? Ledwo rozległy się pierwsze takty melodji, Niedźwiedź i Szczupak zerwali się z półmisków i zaczęli tańczyć. Goście przerazili się najokropniej i tłumnie zaczęli uciekać, a pierwsi uciekali Grajek i Księżniczka. Ale nie zdążyli uciec, bo Niedźwiedź rzucił się za nimi, jedną łapą przytrzymał Grajka, drugą Księżniczkę. Potem Niedźwiedź i Szczupak zasiedli w pustej

sali przy stole i tymi samymi nożami i widelcami, którymi ich miano kłuć i krajać, pokłuli i pokrajali Grajka i Księżniczkę i zjedli.